№ 20. Warszawa, dnia 7 (19) Maja 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

HISTORYCZNY RZUT OKA NA OGRODY,

według konferencyi p. Jana Dybowskiego.

Przez

Seweryne Duchińską.

(Dokończenie.)

II.

W pierwszem sprawozdaniu naszem z lekcyi p. Dybowskiego, wspomnieliśmy w ogólnych rysach o historycznym rozwoju ogrodów. W następnych lekcyach profesor zatrzymuje się dłużej na ogrodach angielskich, przyjętych dziś powszechnie i określa ich główny charakter. Ogród angielski wiernie naśladuje przyrodę, sztuka w nim powinna być utajona, a jednak panować ma tak w ogólnym zarysie planu, jak w umiejętnym doborze drzew i krzewów i właściwem ich pomieszczeniu. Ulice powinny zakręcać się zręcznie, jakby z niechcenia i nie łączyć nigdy z sobą pod prostym kątem. Krzewy z ciemnym liściem muszą być umieszczone z zewnętrznej strony kląbów, wyższe zaś z liściem jasnym, w większem oddaleniu od oka.

Brzegiem trawników, wypada rozrzucić kwiatowe kląbiki w malowniczym kształcie, ale środek trawnika, według dzisiejszego zwyczaju, podniesiony cokolwiek w górę, musi pozostać wolny.

W wielkich ogrodach, szeroki trawnik ma naśladować łąkę, nie szpecą go wtedy polne kwiaty, przeciwnie nawet urozmaicają zbyteczną jednostajność. Inaczej rzecz się ma w ogrodach mniejszych rozmiarów: w tych gazon powinien być gładki, równy, gęsto utkany drobną trawką, niby aksamitny kobierzec.

W Anglii posiewają trawniki koniczyną z małemi listkami, koszą ją raz na tydzień, ażeby nie zakwitła.

Profesor ważną czyni uwagę, dotyczącą małych ogródków, w miastach lub na przedmieściach.

Właściciele ich, pragnąc o ile możności spożytkować każdą piędź ziemi, mieszczą razem w szczupłym obrębie, owocowe drzewa, kwiaty i warzywa wszelkiego rodzaju. Błędny to bardzo system.

Ogródek chociażby najmniejszy, musi być zdaniem profesora, podzielony na trzy osobne części. Najbliżej domu urządzić wypada trawnik otoczony kląbikami kwiatów. Dalszą część ogródka, zająć powinny same drzewa owocowe. Zwyczaj sadzenia warzyw pomiędzy drzewami, szkodzi zarówno jednym jak i drugim, pozbawia bowiem drzewa żywotnych soków, warzywom zaś nie pozwala się rozrastać pod cieniem drzew z całą swobodą, najwłaściwiej zatem, poświęcić im osobną część ogródka, najbardziej oddaloną od domu.

Dziesiątą z rzędu i ostatnią lekcyą, poświęcił profesor hodowaniu roślin pokojowych. Łatwo pojąć, że godzina jedna starczyć nie mogła na wyczerpanie przedmiotu, a przecież ogólne zasady, wyłożone jasno i praktycznie, stały się wyborną skazówką dla osób niedoświadczonych, które lubią otaczać się kwiatami, a patrzą ze smutkiem jak te więdną i marnieją w ich oczach.

Kto chce uniknąć przykrego zawodu, mówi profesor, niech nie wybiera nigdy do pokoju roślin z pod gorących stref, wymagających wielkiego ciepła i obfitej wilgoci; te jedynie w cieplarniach znaleźć mogą odpowiednie warunki, zginą zaś niewątpliwie w pokoju, gdzie powietrze zazwyczaj suche bywa i zmienne. Wogólności rośliny liściaste łatwiej się dadzą hodować w pokoju od kwiatowych. Kto lubi kwiaty, niech poprzestaje na bukietach zmienianych w wodzie, kwiaty bowiem sadzone w doniczkach, nie wytrwają dłużej w pokoju nad dni kilka. Do nielicznych wyjątków należą tu kaktusy, te znoszą wybornie powietrze ścieśnięte, szkodliwe innym kwiatom.

Co do wyboru pokojowych roślin, najwłaściwsze te, które mają łodygę twardą i liść mocny, jak naprzykład kaotszuki czyli fikusy, palmy i różne trzciny; wybornie też utrzymuje się roślina z długim szerokim liściem zwana *Aspidicus*.

W doniczkach większych rozmiarów, można zamaskować ziemię, zielonym jakoby trawniczkiem, utkanym z drobnych *isolepis*, bez szkody dla głównej rośliny.

Wszystkie rośliny wogólności lubią światło, trzeba je też mieścić o ile możności jak najbliżej okien, bez światła bowiem, tracą żywotną siłę. Najszkodliwszym dla nich, kurz zwyczajny w pokoju, dlatego należy starannie obmywać liście wilgotną gąbką, albo wypuszczać na nie drobną rosę, za pomocą *waporyzatora* z gutta perki, jakiego używamy do perfumów.

W hodowaniu roślin najważniejszą sprawą umiejętne ich podlewanie: stosować je wypada do gatunku roślin, kaktusy naprzykład, rosnące w stanie dzikim na piaskach afrykańskich, mniej od innych potrzebują wody szczególniej w zimie, latem jednak podlewać je należy. Wogóle rośliny wymagają wilgoci jednostajnej, nic im tyle nie szkodzi, jak przechodzenie z jednej ostateczności w drugą a z dwojga złego, lepiej trzymać je w stanie zbyt suchym, lub zbyt wilgotnym, jak przechodzić gwałtownie z jednego stanu do drugiego. Przed podlaniem trzeba przekonać się czy ziemia potrzebuje wody, pozory bowiem mylą. Czarny kolor ziemi zależy zwykle od jej gatunku, a nie od wilgoci, jaką w sobie zawiera. Ilość wody zastosować trzeba do rozmiaru doniczki i tyle jej nalać, aby na wskroś przesiąkła ziemię i odpłynęła wydrążonym na dnie otworem.

W podlewaniu nie należy trzymać się daty z góry obliczonej, zależy to od pory roku, od temperatury i wymagań rośliny. W każdym jednak razie, kiedy liście zaczynają więdnąć i żółknąć, widoczny to znak, że roślina za mało miała wody, ztąd korzeń jej nadwyrężony. Często zaniedbanie takie, nie da się powetować.

Przesąd panuje powszechny, że roślina nabiera sił żywotnych, jeśli ją wynosimy na dwór podczas deszczu. Zwyczaj to najszkodliwszy. Roślina żyje w pokoju sztucznem życiem, lecz przywykła do niego, potrzeba ją w zwykłych pozostawić warunkach i unikać wszelkich gwałtownych przeskoków. Nie należy też wynosić roślin pokojowych na słońce, ani na otwarte powietrze, korzenie bowiem nie mają dosyć siły, aby znieść silniejszą wegetacyą pod gołem niebem.

Szkodliwem jest zarówno, zbyt częste przesadzanie rośliny. W miarę rozrostu, gdy widzimy, że korzenie już nie mają się gdzie podziewać, wypada zastąpić doniczkę inną cokolwiek większą, lecz przeniesienie rośliny z małej do nazbyt wielkiej bez właściwego stopniowania, bardzo dla niej niebezpieczne.

Na zakończenie dodał profesor słówko o bukietach. Niedawno jeszcze moda upodobała sobie płaskie, w których kwiaty ściśnięte, osadzone na drucikach, tworzyły jakby mozajkę różnobarwną. Szczęściem ta moda ustąpiła nowej, nierównie naturalniejszej, wziętej od praktycznych Japończyków. Kwiaty na długich łodygach kładą się do wazonu jeden koło drugiego. Aby kwiat zachował dłużej świeżość wypada naciąć koniec łodygi, wtedy bowiem kanały otwierają się i lepiej wciągają w siebie wodę. Wieczorem trzeba za pomocą waporyzatora odświeżyć bukiet i oczyścić go z kurzu. Parę węgielków włożonych do wody zabezpieczą ją od zepsucia i stęchłego wyziewu.

Z piosnek majowych.

Masz dziewczę wszystko, czego pragnąć może
Niewinne serduszko twoje:
Przed sobą cudów wiosennych masz roje,
Nad sobą słoneczko Boże.

Gdzie tylko stąpniesz, tam kwiatek zakwita,
Gdzie spojrzysz, owad zmienia się w motyla,
Każdy się fiołek do ciebie przymila,
Każdy cię ptaszek pieśnią szczęścia wita!

Masz dziewczę wszystko, co na ziemskiej kuli
Szczęściem nazwano,
Pieszczota matki budzi cię co rano
I do snu tuli.

Serdeczna troska w żadnej swej postaci,
Nie chmurzy jeszcze twej duszy bez skazy,
W pustyni życia przeczuwasz oazy,
A w ludziach widzisz aniołów... twych braci!...

Masz dziewczę wszystko co duszy młodzieńczej
Drogiem niezmiernie;
Przyjaźń ci ludzka kwiatem życie wieńczy
Wyjmując ciernie.

W skarbach wiosennych których nikt nie zliczy,
Czerpiesz swobodnie, biorąc z nich najsłodsze,
Ty nie wiesz jeszcze ile w łzach goryczy,
Gdy ich życzliwa dłoń z powiek nie otrze.

Ty nie znasz tego odgłosu pioruna,
Przed którym w lecie drżą młode rośliny;
Ty nie znasz jęku, co w sercu bez winy
Drga jak stargana minorowa struna:
Ty nie wiesz jeszcze jak boli ta rana,
Którą zadaje ręka ukochana!...

Cóż więc dziwnego, że uśmiech, gość miły
Na twoich ustach przesiaduje zawsze,
Nawet i wtedy, gdy myśli ciekawsze,
W tajnie przyszłości rwą się z całej siły?

Wiosenne słońce, wiosenne powietrze,
Dziwną cię dzisiaj radością upaja:
Więc ty się dziewcze uśmiechaj do Maja,
Nim Czerwiec z kwiatów pierwszą świeżość zetrze!

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Trzeciego dnia na cmentarzyku parafialnym, przybyła nowa mogiła, obok grobu Stasi, dzieweczki tak niegdyś uroczej, tak żądnej wiedzy, tak przez Stanisława ukochanej. Kryła go darnina starannie utrzymana, w głowach mieścił się skromny krzyżyk z drzewa wyciosany, umalowany na czarno i z napisem białemi literami: Stanisława z Bociagów Długoszowa — umarła mając lat dziewiętnaście.

Gdy przebrzmiała ostatnia pieśń pogrzebowa, Jan zwrócił się do gromadki przybyłej z ostatnią posługą.

— Dziękuję wam — rzekł — sąsiedzi i sąsiadki za waszą fatygę, żeście jej nie żałowali na drogę wieczności dla mego zmarłego brata. Niech wam to Bóg wynagrodzi, bo mnie chudziaka nie stać na nic więcej.

Potem wziął chłopczynę za rączkę otarł mu buzię zalaną łzami i powlókł się z powrotem do osady. Gromadka idąc zanuciła litanią, bo nie godzi się z myślami światowemi wracać z pogrzebu i zaprzątać język może z obrazą Boską, gdy się przed chwilą stało u progu wieczności.

Po drodze zawadzono o karczemkę przy samej osadzie znajdującą się. Wyszedłszy po rannem śniadaniu na prędce spożytem, nic dziwnego, że około południa głód już wszystkim dobrze dokuczał. Posiłek więc należał się, zwłaszcza że obiad prawie na nikogo gotowy nie czekał w domu.

Wstąpiono zatem do karczemki, wydobyto z węzełków bardzo skromne zapasy z chleba i sera złożone, przypito lichą gorzałką i rozpoczęto gawędkę, której każdy równie był spragniony. Przy ciężkiej ciągłej pracy rzadko się do tego w większem zebraniu nadarzała sposobność, jakże tu z niej nie korzystać. Po smutku należy się pociecha, po zgnębieniu pokrzepienie.

W izbie niebawem wszystkie usta ożywiła rozmowa.

Przypominano sobie dawniejsze podobne straty, przywodzono najdrobniejsze szczegóły choroby i zgonu, wzdychano, płakano, jeden tylko Jan siedział milczący, palił fajkę i karmił chłopczynę kawałkami sera i chleba. Gdy do niego przypito, przyjmował kieliszek i podawał go sąsiadowi nietknięty, tłomacząc się przysięgą wyrzeczenia się wódki. Nie przynaglano go, ale co zwyczaj kazał zachowywano.

— Nieboszczyka sąsiada Marcina—mówiła jedna z kobiet, opłakująca stratę dwojga jedynych dziatek, to zgryzło zmartwienie, które jak się chwyci człowieka, póty męczy i dręczy, aż wreszcie zrobi swoje. Na wdowieństwie dobrze nadszarpał zdrowie, jedyne dziecko Stasia zamiast pociechy przyniosła zmartwienie, wreszcie zmarnowała się, choć była takiej śliczności, jak jaka święta. Oj urody jej Bóg nie poskąpił a i miała zachowanie się, jakby w wielkiem państwie urodzona.

— To też to jej zgubę przyniosło—odezwała się druga z westchnieniem. — Przy urodzie to tudzież zguba i zatrata.

— Co też gadacie, alboż to Stasia na krzywą weszła drogę.

— Ej! o tem się nie mówi, ciotka Kraworska wszystkiemu winowata. Jak zobaczyła dziewuszkę niby kwiatek, tak póty kotłowała głowę nieboszczykowi, że ją wyedukuje, przystroi i potem wyda za mąż za jakiego bogacza, że człeczysko dał się namówić, bo kto tam zgadnie co komu przeznaczono. Ale długo smucił się biedaczysko, zamożności mu nie brakło, chleba miał zawsze pełne brogi, grosz w zapasie nieskąpy, ciągnął się też na edukacyą dziewczęcia, dawał i dawał, aż wreszcie sprzykrzyło mu się i pojechał do Warszawy. Co tam zrobił to nie wiem, ale powiadali ludzie, że jak dowiedział się, iż jakiś bogaty panicz Długosz ma Stasię na oku i gwałtem chce się z nią żenić, zgniewał się bardzo...

— Bójcie się Boga, a i o cóż mu szło?

— Ba! Toć siostra jego żony Jadwiga z tego samego pono dostała obłędu. Miał się z nią żenić także jakiś pan, ale jak familia jego to pomiarkowała, tak póty mąciła i szkalowała, póty przeszkadzała i prześladowała, aż Jadwidze w głowie się pomieszało, a ten pan zatracił się gdzieś tam na obczyznie. Nieboszczyk też bał się, aby i z jego Stasią to samo się nie stało, ale choć zrazu sprzeciwiał się, jak Stasia zaczęła płakać a ciotka jej Kraworska przekładać i przekładać, tak przystał na wszystko i sam wrócił do domu. Nie omyliło go przeczucie...

— Przecieć pobrali się — przerwała słuchająca.

— Tak, pobrali się, ale z tego dopiero wyrosło nieszczęście. Familia jak się dowiedziała o ślubie, jakby kto rzucił na nią ognia, tak się zaciekła w gniewie. Państwo młodzi po ślubie wyjechali na obczyznę, ale ich zwabiono do domu i tak wszystko poprowadzono, że Stasię odesłali do ojca, jej męża wywieziono aż gdzieś za morze do Anglii, czy gdzieindziej i zaraz do rozwodu. Stasi tymczasem Bóg dał chłopczynę Józia, co tak do niej podobny jakby się w jej oczach przeglądał i kiedy już do sił przychodziła przysłano jej jakieś papiery z sądu. Oj! co się wtedy działo, to jakby skończenie świata. Nieboszczyk omdlał, brat jego Jan chciał zaraz wyruszyć do Warszawy, żeby wiarołomcę ukamienować, a Stasia jak zachorzała już się nie dźwignęła. Nieboszczyk, ukochaną swą jedynaczkę pogrzebał, ale od tego czasu został jak nieżywy. Słabował, na ratunek wyciągał ostatni grosz, zapożyczał się, fantował, a gdy cała osada poszła z dymem, już nie mógł

dać sobie rady i przed samą śmiercią zagrodę sprzedał, aby się z długami uspokoić.

— To nieboszczykowi nie brakło zmartwienia— odezwała się słuchająca kobieta. — Największy jednak winowajca to mąż Stasi, że ją opuścił choć ją wziął pod przysięgą w kościele. A cóż dziecina winna, że choć ma ojca bogacza a teraz tyra się jak jaki podrzutek bez ojca i matki?

— Panu wszystko wolno, moja sąsiadko, bo choć nabroi to pieniądzem się zasłoni i zatka ludziom gęby.

— Ale grzechów nie okupi bogactwem.

— Okupi, moja sąsiado, okupi, bo jak zacznie dawać na nabożeństwa, robić zapisy, sypać groszem na msze święte i pacierze dziadów przy kościele, to i miłosierdzie niebieskie prędzej dla siebie wyjedna, jak ubogi co go nie stać na podobne ofiary.

— Oj! Boże, Boże! jak to nam biedakom ciężko na świecie. Panowie choć w bogactwie to co z nami się dzieje tem nie zaprzątają sobie głowy, ale to wszystko chyba z ludzi idzie nie z Boga, bo w tem nie ma żadnej sprawiedliwości.

— Jużcić z ludzkiej złości, ale i nam słonko błyśnie w oczy i inny zrobi porządek, boć jedna u nas dusza i jedno ciało.

Na drugi dzień Jan poszedł na cmentarz, grób brata wydarniował, Stasi mogiłkę poprawił, poszedł potem do lasu po drzewo na krzyżyk. Gajowy chciał go zafantować i zabrać siekierę, Jan nie opierał się.

— To na krzyż na grobie mego brata—rzekł.— Nie brońcie mi tego, kupić nie mam za co, ale wskażcie jaką robotę a odrobię, bo radbym zostawić po sobie pamiątkę. Ostatnia to przysługa dla nieboszczyka, ostatnia praca na jego pożytek. Gdy mi wzbronicie, pójdę dalej, choćby o milę, na własnych plecach podźwigam patyki a muszę chrześciańskie ciało, chrześciańskim naznaczyć znakiem.

Gajowy nie opierał się, sam wynalazł poszukiwaną suszkę, dopomógł do zrąbania i przygotowania z niej krzyża, a gdy Jan umalował go i położył napis, zrobił mały pakunek z różnych pozostałych rzeczy, zarzucił go na plecy, przewiązał jak tornister i zapaliwszy fajeczkę, ruszył w świat szukać chleba pomiędzy ludźmi i opieki dla małego chłopczyny, dla którego już był wszystkiem na ziemi.

Po drodze wstąpił jeszcze na cmentarz, aby ostatni raz pomodlić się przy grobach brata i Stasi.

— Józiu — rzekł do niego—to grób twej matki, zapamiętaj to dziecino, a tu dziaduś twój leży. Jak wyrośniesz, zajdź tu czasami i pomódl się...

— Czy tak jak dzisiaj? — zapytał Józio.

— Tak, moje dziecko, a i za mnie zmów jaki paciorek, bo i mnie już wtedy braknie na ziemi.

— Czy i za ojca także?

— Za ojca?—powtórzył Jan marszcząc czoło— Nie, moje dziecko, ty nie masz ojca, bo byłbyś przy nim...

— A dlaczego nie jestem przy nim? U nas we wsi wszystkie dzieci mają ojców, tylko Wojtuś i Agatka, mają matki bo im ojcowie pomarli.

— To i twój umarł—odrzekł krótko Jan i wyszedłszy ze cmentarza, zapalił fajkę i razem z chłopczyną wszedł na drogę prowadzącą do głównego gościńca.

Obciążony pakunkiem szedł wolno, Józio ubrany dość starannie jak na wiejskie biedne pachołę, bo nawet w nowych bucikach, kapotce sukiennej i czapeczce obszytej barankiem, dreptał przy nim ciągle szczebiocząc i o coś się wypytując. Szczególniej go zajmował przystrój w jakim go w drogę wyprawiono, już go dawno nie miał na sobie. Od chwili choroby dziadka leżał schowany w kufrze, cieszył się więc chłopczyna, że tak strojnie i okaźnie wygląda.

Drogę do przebycia mieli dość daleką, dla starego żołnierza choć z dość ciężkim pakunkiem, była ona niczem, mógł zaufać swoim silnem barkom i nogom przyzwyczajonym do chodu, ale z chłopczyną trudniejsza była sprawa. Przysiadał się też znim na wózki i wozy spotkane na drodze, czasem zawiesił go na worach ze zbożem lub drzewie wiezionem z lasów, a sam szedł pieszo przy woźnicy zabawiając się rozmową, jeżeli zaś gościniec świecił pustkami a chłopczyna zaczął narzekać na znużenie, sadzał go więc na pakunku zalecając ostrożność, żeby nie spadł na ziemię. Wyglądając wtedy dość niezwyczanie, zwracał na siebie uwagę pieszych jak on wędrowników, a gdy litowano się nad jego trudem ojcowskim, odpowiadał:

— To mój wnuczek, sierotka, matka nie żyje, a ja go prawie wyniańczyłem, choć znam tylko karabin i służbę wojskową.

W rozwiniętej ztąd gawędzie, starał się co do Józia zbywać wszystko ogólnikami, ale raz zabrany na wózek przez jakiegoś dzierżawcę na jarmark jadącego, pomału wygadał się ze wszystkiego, choć z oględnością, aby chłopczyna nie domyślił się, że to o nim mowa. Nieznajomy radził ostrożność.

— A i pocóż kryć prawdę? — zapytał Jan. — niech ludzie wiedzą i sądzą.

— Ej! tu nie idzie o ludzi, tylko o chłopca — odrzekł ostrzegający. — Jeżeli go familia wyparła się, to z obawy, aby kiedyś nie procesował się z nią o majątek, gotowa go dziś zgubić, otruć, zabić albo zatracić bez śladu, bo dla bogactwa to wszystko dobre co do niego prowadzi.

— Prawda, prawda — odrzekł Jan i obejrzał się z trwogą, jakby niebezpieczeństwo tuż przy nim stało, a potem chłopczynę przytulił do siebie.

Od tej chwili Jan stał się ostrożniejszym.

Po tygodniu wreszcie takiej wędrówki, dotarł do Przetyk, wioski w której dawny jego pułkownik gospodarzył. Na uboczu stał kościołek drewniany, zczerniały, mchem porosły, otaczał go mały parkanik: pokrzywiony, walący się, z bramy wchodowej jedna tylko była połowa chwiejąca się na górnej zawiasie. Gdy Jan szedł drogą, z dzwonicy wyszedł dziad kościelny ukończywszy wydzwanianie za dusze poległych w obronie całego chrześciaństwa i spostrzegłszy nieznajomego wędrowca, przystanął przyglądając się mu bacznie. Chłopczyna szedł przy nim.

— A toć to Jan Bociąg — zawołał dziadek — stary mój kamrad, witaj mi Janie...

— A zkąd mnie znacie? — zapytał Jan, nie mogąc sobie przypomnieć mówiącego.

— A cóż to zapomniałeś starego Murasa Walentego, podoficera w czwartym pułku liniowym, co was młokosów trzymał w ryzie i rozmawiał z samym wielkim Napoleonem?

— A bodajże was Bóg kochał — zawołał z radością Jan — że was poznać nie mogłem...

— To nic dziwnego — odrzekł Walenty—przy tej siwej brodzie i łysinie jak patelnia, przy tym płaszczu dziadowskim i pęku kluczów kościelnych, czyż można domyśléć się, że to dawny Muras, dawny żołnierz, co z karabinem przeszedł pół świata i wałęsał się po zamorskich krainach. Ale ciebie zaraz poznałem, po płaszczu tym starym, jakbym cię widział w szeregu stojącego. Formuj się do stutysięcy bąb i kartaczy! Baczność! i dalej naprzód!

— Dalej naprzód! — zawołał Jan prostując się.

Starzy towarzysze podali sobie ręce, ucałowali się, chłopczyna strudzony usiadł na poblizkiej murawie, wydobył kawałek bułki z kieszonki i zajadając przyglądał się ciekawie witającym.

— Cóż tu Jasiu porabiasz w naszych stronach? — zapytał wreszcie Walenty. — Boże kochany, prędzej spodziewałbym się śmierci jak spotkania z tobą.

— Idę za chlebem, gdzie oczy poniosą...

— Za chlebem — powtórzył Walenty, cały zajęty przeszłością, którą mu spotkanie z Janem tak żywo przypomniało. — A pamiętasz Jasiu, jakem to na dniówce po służbie całonocnej omdlał a tyś mnie pokrzepił wódką z własnej manierki. Ah! człeku, co to był za nektar, teraz takiej wódki nie umieją wyrabiać.

— A bo wszystko się na świecie popsuło — odrzekł Jan — żadnej nigdzie sprawiedliwości.

— Ale będzie, przyjdzie i na nią kolej — odrzekł Walenty tajemniczo. — Proboszcz trzyma gazety i ja je czytuję, to wiem wszystko co się w świecie dzieje. Francya... ho! ho! tam nie zaśpią gruszek w popiele. Znam ja dobrze Francuzów, nie ma w nich pobożności, ale pochopu do dobrego nigdy w nich nie brakuje. Zobaczysz człeku jakiego sprawią franta i wytną kuranta. Ale ty pewno głodny, znużony, a ja cię przytrzymuję.

— Ej! nie ma żadnej nagłości, nic mi tak bardzo nie pili — odrzekł Jan zapalając fajkę.

— A cóż to za chłopczynę wiedziesz z sobą? Czy to syn twój?

— Nie, to wnuczek po bracie moim Marcinie, co go na księdza przeznaczył.

— Hm! — mruknął Walenty. — Pobożna to ofiara, ale sam Bóg radzi o swojej czeladzi a kto tam zgadnie co komu przeznaczono? Innej i my dla siebie doli wyglądali, a stało się inaczej, na tobie płaszcz wyszarzany a na mnie liberya kościelnego dzwonnika.

— Nie wstydzi to nas jednak — odrzekł Jan— i wszędzie i każdemu spojrzymy śmiało w oczy, bośmy poczciwości naszej nikomu nie przedali.

— A niechbym prędzej padł trupem! — zawołał Walenty. — Ale chodź Jasiu do mojej kwatery, a może tam znajdę co na ząb włożyć. Biedota tu we wsi wielka, ale ludziska poczciwi o starym Walentym nie zapominają a i proboszcz pamięta i zawsze nazywa mnie starym tułaczem. Chodź, chodź!

Walenty poszedł przodem przez cmentarz przykościelny, ciągle marudząc na zniszczoną bramę, na chwasty przy parkanie rosnące, na furtkę wyrwaną i na domek obok plebanii stojący, w którym po jednej stronie mieszkał wikaryusz a po drugiej sam Walenty.

— Przenocujesz u mnie mój Jasiu — mówił dalej stary inwalida, który mimo zuchwałości w mowie, dobrze już nogami powłóczył. Słońce zachodzi, naniosę słomy i grochowin, pożywimy się czem Bóg da, ugadamy się o starych czasach a potem buch na słomę, kułak pod głowę i wszystko będzie jak przynależy.

(D. c. n.)

Historya o motylu.

Dalej motylu! igraj wesoło!
Patrz, co tu ślicznych kwiatków w około —
Więc najpiękniejszą wybieraj z róż,
I przy niej serce motyle złóż.

Motylek żwawo furknął skzydłami...
Wieczór osiada wonny i cichy,
Kwiaty swe wdzięczne chylą kielichy,
A nasz motylek igra z kwiatami.

Lecz ślicznych kwiatków jest tyle... tyle!...
Wszystkie mu rade — witają mile —
Wybór cóś trudny wśród pięknych tylu...
Cóż? — nie przy róży jesteś motylu?

To niezabudka — kwiatek choć mały,
Ale serdeczny i bardzo stały,
Już pocałunek dostał motyli...
Lecz... był mu tylko zabawką chwili.

I wnet w uścisku lilijka biała —
Taka niewinna, taka nieśmiała...
Na licu lilii całus zostawił...
I u stokrotki długo nie bawił.

— Coraz to żwawiej, z kwiatka na kwiatek...
Całuje różę, powój, bławatek...
Bo motyl płochy i nie ma serca,
Motyl bałamut i przeniewierca!

Zdradzone kwiatki schylają głowy,
I wszystkie co mu całunek dały...
Za chwilę martwe wszystkie leżały!...
Wtem się obudził ranek majowy.

Smutny to widok, kwiatów mogiły!
Pieśń zemsty, muszki brzęczały złote,
Ptaszki śpiewały skargi stokrotne,
Słońce przesłało im swą pieszczotę...

Lecz martwe kwiaty już nie odżyły —
Nie przebudziło ich słońca tchnienie...
Nie orzeźwiły jego promienie.

Motyl im zabrał siły żywotne!...
Płochy motylu strzeż się nieboże!
Bo ci na smutny koniec przyjść może!...

. . . .

Znowu mignęły skrzydła motyle!
Przy róży pędzi rozkoszne chwile...
A ta różyczka coś bardzo blada
W jego objęciach więdnie... opada ..

Już miał odlecić... gdy ujrzał kwiatek:
Fijołek w trawie, czy też bławatek...
Kwiatek podnosi główkę z ukrycia,
Zalotnie miękkie listki odchyla...

Namiętnie k'sobie tuli motyla...
Lecz cóż to?... motyl pada bez życia!
Gdy zdradny kwiatek dawał pieszczoty,
I gdy go tulił na swojem łonie...

Ukrył zabójcę w swojej koronie!
W piersi mu żądło wbił owad złoty!
Lecz i kwiat skonał — pękło mu serce!
Bo kwiatek kochał, choć przeniewiercę.

M. P.

Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

przez

L. Szczerbowicza-Wieczora.

(Dokończenie.)

Mowa kaszubska dla naszych niewprawnych uszu nie bardzo jest zrozumiałą, już to z powodu znacznych zmian samogłosek, już to z powodu napływu wyrazów niemieckich, przytem mocno przekręconych, już nakoniec wskutek różnych starosławiańskich właściwości, które dziś są już dla nas niezrozumiałemi archaizmami i wskutek niektórych odrębnych właściwości prowincyonalnych. Tak np. do właściwości starosłowiańskich należy powszechnie miękczenie przed samogłoską „i" spółgłoski „k" na „c" „a" „g" na „dz". Było to w starożytności prawidłem ogólnie starosławiańskiem, zkąd i u nas takie formy jak ręce, nodze, a także ptacy, wilcy, krucy i t. d. w późniejszej jednak polszczyznie to zmiękczenie przestało być powszechnem, a u Kaszubów zachowało w całości swą siłę i tak zamiast Czarliński, wielki, długi, kiedy: Kaszubi mówią: Czarlińsci, wilci, dludzi, ciedy i t. d. Charakterystycznem jest także wtrącanie „n" pomiędzy „m" i następującą samogłoską np. mniasto zamiast miasto.

Miasteczko Oliwa pierwsza stacya kolei od Soboty do Gdańska, łączy w sobie powaby, których jakby się zdawało trudno byłoby się spodziewać na piaszczystych wybrzeżach Bałtyku. Są tu bowiem i wzgórza wysokie i lasem pokryte, a nad urodzajnemi niwami i zielenią drzew wspaniałego parku, wznosi swe wieże starożytny klasztor Cystersów, przylegający do gmachu opactwa, obecnie będącego pałacem królewskim. Do tego pałacu przywiązaną jest legęda romantyczna i to nie starożytna, ale współczesna: mieszka tam bowiem do dziś dnia jakaś księżniczka z królewskiego domu pruskiego, której nie pozwolono wyjść zamąż za zwykłego śmiertelnika, podobno jakiegoś oficera, a za samą tę karygodną zachciankę wysłano ją tutaj na honorowe więzienie. Musiało to jednak stać się dosyć dawno, gdyż obecnie księżniczka liczy już przeszło 80 lat.

Pustelnica stała się widocznie mizantropką, gdyż nie dopuszcza nikogo do pałacu i oglądać go nie pozwala.

Co się tyczy starożytnego klasztoru niegdyś Cystersów założonego jeszcze w XII wieku, rozsypuje się on powoli w gruzy. Przewodnik, miejscowy zakrystyan pokazuje wspaniały refektarz, ozdobiony portretami wszystkich opatów, następnie miejsce gdzie rosło wspaniałe drzewo oliwne, od którego cała miejscowość wzięła nazwę: dalej pokój i stół na którym został podpisany znany w dziejach traktat oliwski 1660 r., który był właściwie początkiem upadku Polski. Stół jest dębowy z blatem marmurowym, pokryty nazwiskami zwiedzających od lat 200. Nad stołem na ścianie znajdują się wypisane wiersze łacińskie w stylu niesmaczno-panegirycznym, w których autor czy wierszokleta bawi się anagramem Viola wytworzonym przez przekładnią z nazwy Oliwa.

Kościół olbrzymich rozmiarów, dziś jeszcze służy nabożeństwu katolickiemu, chociaż z powodu kulturkampfu ma tylko jednego księdza.

Pokazują tu kaplicę niegdyś opatów, kaplicę zwaną polską, gdzie jeszcze kilka razy do roku głoszone są polskie kazania i nakoniec największą osobliwość miejscową — wspaniałe organy, jedne z największych w świecie o 11,000 piszczałek i 34 miechach zbudowane w półkole przez jakiegoś braciszka zakonnego. W jednym z bocznych ołtarzy na szarej kolumnie marmurowej naturalne desenie wytwarzają jakby dwa popiersia: męzkie w kapeluszu stusowanym i kobiece w czepcu czy też w dyademie. Przewodnik utrzymuje, że są to portrety Fryderyka II i Maryi Teresy, przez samą naturę wytworzone.

W prezbiteryum po nad stalami są zamieszczone portrety dobroczyńców kościoła, a mianowicie pięciu książąt pomorskich, Sobiesława I-go, który chrzest przyjął i klasztor w Oliwie założył, dalej Mestwina I go, Sobiesława II-go, Mestwina II-go i Świętopełka, a z drugiej strony królów: Kazimierza Jagiellończyka, Stefana Batorego i Zygmunta III-go. Pod czarnym marmurowym sarkofagiem w podziemiach, spoczywają zwłoki wymienionych książąt pomorskich.

Jeszcze dalszą wycieczkę dla gości kąpielowych z Soboty, stanowi podróż morzem na półwysep Helę, gdzie niegdyś były porty polskie Władysławów i Kaźmierzów, a obecnie ma swoją stacyą flota niemiecka.

Opodal przy wiosce Katz, ta flota odbywa co środa manewra morskie, które także ściągały wielu ciekawych.

IV.

Południowa część Szlązka Pruskiego, która ostrym klinem wchodzi w ziemię Czeską, stanowiło niegdyś oddzielne hrabstwo, którego stolicą było miasto Glatz. Miano to słowiańskie Kladsko, zniemczone podobnie jak i mieszkańcy. W okolicy tylko są jeszcze wsie, w których mówią po czesku, ale na tej granicy, orzeł pruski zagarnął pod swe panowanie nieco ludzi języka czeskiego, podobnie jak na innych kresach wcielił przemocą do ojczyzny niemieckiej Polaków, Francuzów i Duńczyków. Samo wymienione miasto jest fortecą; zresztą nie przedstawia nic godnego uwagi i wygląda jakoś szaro i smutnie, chociaż położone malowniczo na wzgórzach: także nie ma ani jednej szerszej ulicy, a zamiast chodników wszędzie są stopnie i schodki.

Okolica tego miasta słynie z pięknych widoków i źródeł leczniczych. Sudety dochodzą tu największej wysokości i tworzą prześliczne doliny po nad któremi szumią lasy na szczytach górskich lub sterczą nagie skały.

Miejscowości kuracyjne: Landeck, Flinsberg, Rajnerz, Cudowa i inne znajdują się w niewielkiej od siebie odległości.

Z tych dwie ostatnie używają największej wziętości. Wygodna droga szosowa prowadzi przez wąwozy górskie do Rejnerz o 3 m. oddalonego od Klaska. Miejscowość to prześliczna i bardzo wzniesiona nad poziom morza, a mianowicie około 1,800 stóp, prawie tyleż co Zakopane. Ztąd powietrze tu ostre górskie, zalecane jest cierpiącym na różne choroby, chociaż nie ulega wątpliwości, że np. chorym piersiowym, których tu najwięcej wysyłają, tak ostre powietrze nie bardzo służy, podobnie jak powietrze Szczawnicy, Krynicy i Zakopanego.

Może komu wyda się to zdanie dziwnem i wiem dobrze, że lekarze z tradycyi i nałogu, że nie mówię o innych pobudkach, są wprost przeciwnego zdania, ale za mojem przemawiają liczne wypadki z doświadczenia.

Lasy świerkowe otaczające Reynerz napełniają powietrze balsamicznym zapachem, a oprócz tego są źródła żelaziste i znajduje się zakład żętyczny, który uchodzi za najlepszy po alpejskich. Prawda, że za ten specyał każą płacić okropnie drogo, drożej niż za kawę lub wino, gdyż za szklaneczkę, zawierającą ⅙ litra tego nektaru, płaci się 6 m. tygodniowo.

Jest to żętyca owcza, gdyż kozia kosztuje znacznie taniej. Opłata kuracyjna jest także wygórowaną, gdyż wynosi 24 m. od osoby. Zresztą życie nie drogie i o dobre mieszkania nie trudno, gdyż Reynerz jest to miasto, a zakład kuracyjny znajduje się za miastem, można więc mieszkać albo w mieście, albo w zakładzie.

Z Reynerz droga dwu milowa, ciągle prawie na dół spadając, prowadzi do Cudowy, na samej granicy czeskiej. Lud tu już mówi po czesku i sama nazwa Cudowy jest czeską i odpowiada naszemu Chudoba. Miejscowość ta leży na 1,200 st. nad morzem w wązkiej dolinie, niezbyt osłoniętej niewysokiemi górami; ztąd powietrze tu nie bardzo zdrowe i mało cech górskich posiada, panują też tu ciągle wiatry, chociaż rozmaite dzieła niemieckie zapewniają przeciwnie. Obecnie Cudowa należy do b. Cramsty i co do urządzenia wiele jej jeszcze brakuje. Zasobem leczniczym, jest tutaj źródło żelaziste bardzo silne, przewyższające wody krynickie i francezbadzkie, używane do picia i do kąpieli.

Nie przecząc, że picie wody i kąpiele mogą wpłynąć korzystnie na zdrowie, mniemam, że obecnie zalecanie tych środków na wszystkie niemal bez wyjątku choroby, stało się spekulacyą graniczącą z szarlataneryą. A jednak wielu jeszcze a zwłaszcza kobiety, wierzą ślepo w wskazówki lekarzy co do ilości kubków i uncyi wody, mających stanowić o polepszeniu lub pogorszeniu zdrowia. Panuje tu jeszcze zasada, że trzeba pić jak najwięcej wody dla otrzymania pomyślnych skutków, tak że niektórzy wypijają po 8—10 szklanek tego nektaru i picie wody trwa dzień cały, od rana aż do nocy. Komicznym dla sceptyków jest widok miejscowego eskulapa, który w czasie przegrywania muzyki obchodzi plac spacerowy lub u źródła w kąciku udziela *stante pede* króciutkich audyencyi łatwowiernym pacyentom, oszczędzając sobie takim sposobem czasu i kłopotu, a nie uszczuplając bynajmniej swoich honoraryów.

Zajęci całodziennem piciem wód i kąpielami, a resztę czasu obracając na spożywanie posiłków, pacyenci nie mają zgoła czasu na skuteczniejsze może przechadzki do lasu i przebywanie na wolnem powietrzu, gdyż kręcenie się w kółko na szczupłym i zacieśnionym placyku przed zdrojem, niepodobna nazwać używaniem przechadzki i świeżego powietrza. Niektórzy, aby mieć bliżej do kąpieli, zamieszkują w samych domach kąpielowych, gdzie są pokoje dla gości, mniemam wszelako, że to rzecz bardzo niezdrowa z powodu przykrych wyziewów i że to więcej może zaszkodzić zdrowiu niż pomogą kąpiele.

Obszerny park, porządnie wprawdzie utrzymany, nie posiada drzew iglastych i jest nieco wilgotny. Opodal na górze jest kawałek lasku, a w nim kościół ewangelicki i opodal cmentarz.

Większy las znajduje się na szczycie góry zwanej Slosberg. Na niewielkiej przestrzeni, którą zajmuje budowa, znajduje się nie mało domów i willy, a ceny mieszkań są dosyć przystępne. W wielu domach jest wilgoć i wygody wiele pozostawiają do życzenia. Życie wogóle nie drogie, jak wszędzie w Prusach, nawet dla nas, pomimo opłakanego kursu naszych pieniędzy. Mniemam, że to po części należy przypisać małej jednostce monetarnej, gdyż tam np. gdzie jednostkę stanowi rubel lub gulden, żądają za niejedną rzecz rubla lub guldena, jakby już cenę najniższą, wówczas gdy w Niemczech ludzie jakby się wahali żądać za coś tak pokaźnie brzmiącej i odstraszającej kwoty jak np. 50 lub 70 fenigów, chociaż to w gruncie wcale nie wiele wynosi. Tak np. ta sama porcya jedzenia kosztuje w Austryi tyleż krajcarów co w Niemczech fenigów, a więc dwa razy tyle.

Zarząd miejscowy niedawno wystawił budynek z kolumnadą, przytykającą do źródła, w którym oprócz kancelaryi zarządu, mieści się szklana sala przeznaczona na czytelnię. Pism tu nie mało, a z polskich znajduje się: „Dziennik Poznański", „Kuryer Poznański", „Goniec Wielkopolski" i „Kuryer Warszawski".

Z czytelni jak prawie i wszędzie w Niemczech, korzystać może każdy bezpłatnie, kto złoży opłatę kuracyjną w ilości 6 m. tygodniowo. Pisma niemieckie wogóle są bardzo starannie redagowane, tak że nawet w porze ogórkowej nie brak w nich treści. Zresztą obecnego lata, Arabi-Basza, powodzie i nawodnienia i niezwykle częste morderstwa, ratowały prasę od posuchy. Można było znaleźć wiele humorystycznego w pismach i rzeczach nawet nie humorystycznych z natury. Tak np. jakieś Towarzystwo ubezpieczeń ogłasza, że zabezpiecza przeciwko wszelkim wypadkom, mogącym zajść nam na przechadzce lub w pokoju, tu znowu jakiś chirurg-operator, donosi, że przyprawia nosy nawet listownie. W między narodowej gazecie ogłoszeń, wychodzącej w Gdańsku, w której pomieszczane są anonsa w rozmaitych językach, a w tej liczbie i w polskim, wyczytaliem raz ogłoszenie niejakiego p. Helmeke, zamieszkałego w Berlinie przy ulicy Smith-Strasse Nr. 24, który zawiadamia, że nabywa znaczne partye świeżej krwi. Jakiej i do czego, o tem nie ma wzmianki.

Zaprawdę po kilku wiekach może jaki uczony badacz, któremu wpadnie w ręce ten numer gazety, dowodzić będzie dokumentnie, że anno domini 1882 w Berlinie handlowano krwią ludzką na wielką skalę i ogłaszano o tem publicznie i że Niemcy używali krwi do jakichś obrzędów.

W gazetach poznańskich zajmowano się żywo agitacyą wyborczą a także składkami na rzecz teatru polskiego w Poznaniu.

Pod tym ostatnim względem przytoczę czyn charakterystyczny a prawdziwie obywatelski. Otó kółko osób zamożniejszych z inteligencyi polskiej w Toruniu, obliczywszy że w tem mieście znajduje się 7,500 Polaków, z których każdy powinien złożyć na korzyść teatru 30 fenigów, co wyniosło by 2,250 m. postanowiło tę kwotę złożyć, dając składkę i za siebie i za tych, którzy jej złożyć nie mogą lub nie chcą.

Czystość i porządek w Cudowie są bez zarzutu, chociaż czuć tu na każdym kroku sztywność i formalizm pruski. Wszystko się tu załatwia rutynowo, automatycznie, litera przepisów jest wszystkiem, żadnej uprzejmości, żadnej względności, użaleń się nie słucha, dawać rady lub objaśnienia nie ma czasu.

Militaryzm tak głębokie zapuścił korzenie, że wszystko co gdziekolwiek urzęduje, nosi się po wojskowemu, a przynajmniej używa czapek wojskowych.

Formalizm dochodzi do tego stopnia, że nawet za 24-godzinną zwłokę w zameldowaniu przyjezdnych natychmiast nakładają na właścicieli domów kary pieniężne, jak gdyby Cudowa była w stanie oblężenia, lub w czasie wojennym. Niezbyt miłą niespodziankę dla nieświadomych stanowią także zwane drogi prywatne (Priwat-Wege). Oto np. o parę set kroków za głównym placem zdrojowym, znajduje się przybita na drzewie tabliczka z napisem „droga prywatna" (Priwat-Weg). Niewiele przywiązując wagi do takiego napisu, wędrujesz sobie dalej, dobrze jeżeli cię nie spotka żadna przygoda. Dopiero później dowiadujesz się z drukowanych przepisów, dołączonych do tutejszej listy gości, że kto chodzi lub jeździ po tak zwanych drogach prywatnych, bez uzyskania odpowiedniego zezwolenia, temu grozi kara pieniężna do wysokości 50 m. lub areszt do 14 dni.

Miła to rzecz doprawdy! u nas to jeszcze chwała Bogu chodzić i jeździć wolno wszędzie, gdzie nie zagrodzono i nie zamknięto. Tylko pod względem celnym Prusacy nie bardzo są surowi.

Tuż za parkiem i stawem w Cudowie leżą wsie czeskie, ale granica niczem nie oznaczona, żadnej straży ani komory. To też goście kuracyjni udają się często na stronę austryacką na piwo lub wino i przemycają stamtąd do własnego użytku cygara i wina austryackie.

Ze strony austryackiej rewizya celna odbywa się o pół mili od Cudowy pod Nachodem, dla osób zmierzających ku temu miasteczku, gdzie jest stacya kolei żelaznej prowadzącej z jednej strony do Wrocławia w 4 godziny a z drugiej strony do Pragi w 5 godzin i do Wiednia przez Berno w 10 godzin.

Pod Nachodem, jak wiadomo, stoczona była bitwa pomiędzy Prusakami i Austryakami w 1866 r.

Na wysokiej górze pod miastem znajduje się pięknie zachowany zamek, w którym podobno urodził się znakomity Wallenstein.

Cudowa pod względem płodów roślinnych istotnie zasługuje na nazwę chudoby, zboża tu nieszczególne a ważywa podobnie wcale nie mają i tutejsi restauratowie sprowadzają ją, jak mówią, aż z Wrocławia, to też tak pospolite w Niemczech kartofle są tu tak cenione, że do befsztyku dodaje się nie więcej jak 1 kartofel. Nawet o mleko nie łatwo, pomimo, że gości tego lata, z powodu słoty, było bardzo nie wiele. Tylko poziomki i maliny można mieć aż do końca sierpnia.

Przyjezdni zwykle skarżyli się tu na nudy, nie mając rozrywek właściwych innym miejscom kąpielowym. Istotnie oprócz czytelni, innych rozrywek tu nie ma.

Dla zabicia nudów zarząd urządzał niekiedy na powyżej wzmiankowanym stawie wyścigi łódek z illuminacyą i ogniami bengalskiemi, nazywając to szumnie Corso Gondoli.

O tak zwanem życiu towarzyskiem nie wiele jest do powiedzenia.

Niemcy pomiędzy sobą tworzą kółka, dzieci Izraela podobnież, nieliczni zaś polacy po większej części zostają w rozproszeniu, trwożliwie i z nieufnością spoglądając jedni na drugich. Przyczyny tego znanego objawu nie tyle tkwią w charakterze narodowym, jak to sądzą niektórzy, ile raczej zależą od rozmaitych warunków, zbyt licznych i ważnych, i daleko w przeszłość sięgających, ażebym mógł tu o nich mówić szczegółowo.

Kościół katolicki znajduje się w przyległej wiosce czeskiej, zwanej Czerbenaj. Jest tu osobliwość, a mianowicie kaplica pogrzebowa, w której strop i ściany wyłożone są ludzkiemi czaszkami

i kośćmi; z tych także materyałów zbudowany jest ołtarz. Pomysł to ks. Tomaszka, który zmarł przed 100 blizko laty.

Do swojej fantastycznej budowy, której jest ponurem Memento Mori, użył kilka tysięcy szkieletów ludzkich wykopanych z poblizkiego cmentarza.

POGADANKA.

Co to za rozkosz po długiej zimie, dłuższej a deszczowej niby wiośnie, wygrzewać się na słońcu, które przestało być samym blaskiem tylko. Nie brak nam wprawdzie i teraz deszczu, lecz jestto deszcz prawdziwy letni, z grzmotami i piorunami.

W czasie ostatniej ulewy, przedstawiała Warszawa oryginalny widok. Połowa ulic była zalanych tak, że niepodobna było przejść nie narażając się na przedwczesną kąpiel. Wynik to braku kanalizacyi, której niepodobna się doczekać. Sądzimy, że byłoby rzeczą dobrą, a nawet konieczną urządzić na głównych, a nizko położonych ulicach stacye ratunkowe z łodziami, z których osobliwie panie mogłyby w czasie deszczowej powodzi korzystać.

Za to po deszczu proszę popatrzéć jak Warszawa ślicznie wygląda. Zieleń wyrasta, słońce grzeje i suszy, a w ogrodzie Saskim roją się tysiące.

Słusznie powiedział ś. p. Horain, że to wystawa pięknych kobiet, ten Saski ogród!

Około pół do ósmej wieczór przerzedza się w ogrodzie—publiczność śpieszy do wielkiego teatru, ażeby usłuszéć Józefę Reszkównę. Artystka ta ma podwójny dla Warszawy powab, jako śpiewaczka pierwszorzędna i jako Warszawianka.

Artyzm zjednał jej ogromną wziętość za granicą, przywiązanie do miasta rodzinnego podyktowało myśl wystąpienia i na naszej scenie. Proszona kilkakrotnie, ażeby dała się słyszéć w Warszawie, odpowiadała zawsze: „nie, muszę się wpierw przeświadczyć, czy występ taki nie byłby fiaskiem.

Artystka dotrzymała słowa. Poprzedzona głośną sławą, przybyła do Warszawy na dwadzieścia występów, których dwanaście zupełnie bezpłatnie dla podratowania kasy teatru ofiarowała. Jakże to pięknie za nią przemawia.

Występu oczekiwano z niesłychaną niecierpliwością. Czy też sława nie przesadzona? — pytano.

Na scenie zjawia się Małgorzata z Fausta.

Wszyscy słuchają z natężoną uwagą. Wkrótce uwagę ruguje artystyczny poryw, dalej zachwyt, który nie zna granic, zaczyna się burza oklasków bez końca...

Za każdym występem powtarza się to samo.

Do laurów europejskich przywykła artystka pewno w Warszawie nie tęskni do nich. My wawrzynów nie mamy, lecz nie brak nam kwiecia barwnego i wonnego, a już co do oklasków, to artystka mogła słyszéć huczniejsze, lecz nie gorętsze one były, nie serdeczniejsze.

Dla Warszawianki te skromne dary będą pewno równie miłe, a droższe od drogich brylantów.

Dyrekcya teatru powinna bardzo a bardzo dziękować artystce za jej występy, bo dają około *dwudziestu tysięcy rubli* na pokrycie dawnych niedoborów.

Warszawianki dumne mogą być z tak szczodrej siostrzycy i wogóle mogą się pochwalić szczęściem nie małem w wielu razach.

Oto w Warszawie powstała pierwsza fabryka wstążek jedwabnych, w której znajdzie nietylko około stu robotnic pracę, lecz nadto będziemy mieli krajowe wstążki, tańsze od zagranicznych a tak przy stroju konieczne.

Pan E. Łojko, dyrektor zakładu rękodzielniczego dla kobiet, ofiarował *20,000 rubli*, na założenie w przyszłości uniwersytetu dla nich w Warszawie, jakby pragnął poparcia swej myśli, propaguje ją gorliwie, ażeby ostatecznie zamiar przyprowadzić do skutku.

Przytaczamy tu dosłownie list jego zamieszczony w tej kwestyi w „Echu".

„Nie przeczymy, że głównem zadaniem kobiety jest piecza ogniska domowego i wychowanie dzieci. Ażeby jednak kobieta mogła godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, powinna posiadać gruntowne wykształcenie, ułatwiające jej to zadanie.

Pod tym względem wychowanie i kształcenie naszych kobiet wymaga radykalnej reformy. Nasze średnie żeńskie szkoły dają im tylko encyklopedyczną oświatę.

Mamy już spory zastęp kobiet domagających się wyższego wykształcenia. Dla nich jest potrzebny uniwersytet. Jeżeli w uniwersytetach i akademiach męzkich znajdujemy do 10,000 studentów narodowości polskiej, to dlaczegóżby nie mógł istnieć jeszcze uniwersytet, do któregoby uczęszczało na kursa 500 kobiet, z całego obszaru.

Jeżeli dotąd wyższa nauka była zmonopolizowaną przez połowę męzką, to tylko z przyczyny, że w tym razie panowała siła nad prawem, która obecnie musi ustąpić sprawiedliwości.

Nie ma wątpliwości, że teraźniejsze okoliczności nie sprzyjają otwarciu uniwersytetu dla kobiet w Warszawie, który i w przyszłości może być dźwignięty tylko własnemi siłami naszego społeczeństwa. W tym celu uważamy ową ofiarę 20,000 rubli tylko za kamień węgielny, na którym musi z czasem stanąć budowa uniwersytetu kobiecego, wymagająca wielkiego kapitału.

Spodziewamy się jednak, że odtąd wszyscy zapisujący pewne ofiary na instytucye publiczne, będą pamiętać i o uniwersytecie dla kobiet w Warszawie. Szczególniej to stosujemy do kobiet. W ostatnich czasach kilka z nich porobiły krociowe zapisy na różne publiczne cele, lecz zapomniały o przeznaczeniu cośkolwiek na oświatę swych współsiostrzyc.

Uniwersytet da krajowi corocznie kilkadziesiąt kobiet poważnie myślących, z wyższą oświatą, które swym wpływem mogą nadać kierunek racyonalnego pojęcia spełniania ważnych obowiązków żony i matki, zapewnienia fizycznego i umysłowego zdrowia przyszłym naszym pokoleniom.

Innego są zdania kilka naszych pism, które do tego stopnia zesklepiły się w swym konserwatyzmie, że odmawiają wszelkiej racyi takiej ofierze. Nie chcąc z nimi polemizować, przytaczamy słowa, wypowiedziane z tego powodu w N-rze 16 „Kraju": „Ze strony tych wszystkich, którzy pojmują wartość wiedzy i nauki, bez wszelkich ograniczeń dyktowanych przez ckliwy sentymentalizm i obskurantyzm, należy się panu Łojce uznanie i wdzięczność, wszelkie zaś rady praktyczne, co do zmiany przeznaczenia ofiarowanego funduszu, uważamy za niewłaściwe. Niektórzy publicyści, niestety, byli tyle... nieprzyzwoici, że wprost z obelgami przeciw panu Łojko wystąpili. Trudno uwierzyć, prawda? A jednakże tak było."

Fakt to zbyt doniosły, ażebyśmy go mogli pomijać milczeniem. Występowanie przeciwko ofiarodawcy i jego zamiarom, uważamy za dowód nizkiego stopnia oświaty ze strony przeciwników. Wolno nam się nie godzić na jakieś szczegóły, lecz sam cel p. Łojki jest tak szlachetny, że tylko na najgorliwsze zasługuje poparcie. Wszakże do napaści i to w formie co najmniej nieprzyzwoitej, jesteśmy już przyzwyczajeni. W ostatnich czasach niektóre radykalne pisma warszawskie dały dowód upadku moralnego, który nas smutkiem napawa.

Potargano wiele węzłów serdecznych, strącano w błoto ludzi uczciwych, szafowano epitetami obelżywemi... a jedynym powodem była zawiść. Zapomniano o kardynalnej zasadzie, którą nam zawsze na pamięci miéć się godzi, że w życiu publicznem nie osobistości się ważą lecz sprawy.

Jeden z takich ulicznych bohaterów wystąpił do walki przeciwko literatom z Galicyi. Sypał na ich głowy nie gromy lecz śmiecie, bo tylko na to go stać, zarzucał wszystko najgorsze, o czem się nawet żadnemu z obwinionych nie śniło. Wypowiedziano zasadę niegościnności głośno i do najwyższego stopnia nieuczciwie.

Dla poparcia swych żądań, pismo owo, umieściło rodzaj powieści, niegodziwy paszkwil, wymieniony przeciwko jednemu z literatów. Człowiek to zdolny pracowity, szanowany i lubiony powszechnie, a jednak ów napastnik nie wahał się zrobić mu zarzuty, które możemy napiętnować tylko nikczemnością.

Wybaczą mi czytelnicy gorycz tych słów, ale niepodobna o sprawie tak brudnej inaczej pisać. Milczeliśmy, sądząc, że głos paszkwilisty ucichnie, a owo: hejże na Galicyanów! przebrzmi bez echa.

Co do samego paszkwilu „Przeglądu Tygodniowego", możemy upewnić, że nie ma w nim słowa prawdy. Smutno tylko, że wobec takiego faktu, prasa warszawska milczała.

A jednak ta sama prasa umie w innych wypadkach bardzo być energiczną. Obawa to, czy tylko jeszcze jeden komentarz do starej piosenki: *wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.*

Wracając do projektu pana Łojki, powtarzamy raz jeszcze, iż piszemy się nań zupełnie, chwalimy zacną chęć szerzenia wyższego oświecenie pomiędzy kobietami. Istotnie dziś, wobec tego, że kobiety biorą się do wszelkich zawodów, potrzeba im więcej wiedzy, aniżeli jej dotąd posiadały.

Niesłusznym jest tylko ów zwrot do *siły nad prawem.* Tej zasady mężczyźni nigdy się nie trzymali. W starożytności mieliśmy kobiety wysoce uczone, a jednak nikt ich siłą nie gnębił, nikt im nie odbierał prawa kształcenia się. Że kobiety nie zdążały równo z mężczyznami, to nie tych ostatnich wina, lecz stosunków. Kobieta zajęta pracą domową, nie miała czasu ani sposobności do kształcenia się. Dziś wobec zwiększania się ludności, a przewagi liczebnej kobiet, może pewien ich procent oddać się nauce, bo inne załatwiają sprawy gospodarskie.

Zresztą mężczyźni stawiali kobietę tak wysoko, iż nie uznawali żeby jej jeszcze potrzebną była mozolna nauka.

Zakończymy ślicznym wierszem Seweryny Duchińskiej do kobiety:

„O kobiety! któż cię zdoła,
Z tychułudnych wyrwać sideł;
Lepiej, lepiej od anioła,
Promienistych pożycz skrzydeł.

Inna ciebie przyszłość czeka,
W górę jasnem sięgnij czołem!
Chcesz się dobić praw człowieka
Ty, co możesz być aniołem!"

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Leopold Hauser. Monografia miasta Przemyśla. Przemyśl nakładem braci Jeleniów, 1883 r.

Wiele miast naszych ginie w głębokiej przeszłości, a nie jeden badacz próżno się wysila o wyjaśnienie pierwotnego stanu tych prastarych grodów, które jeszcze w czasach pogańskich przyświecały początkom naszej ojczyzny. Do takich grodów możemy zaliczyć i Przemyśl, dzieje którego są bardzo zajmujące, zwłaszcza, że rozłożył się on na pograniczu później dwóch odrębnych cywilizacyi t. j. wschodniej i zachodniej.

Sama dawna Czerwona Chrobacya dla historyków stanowi do dziś dnia węzeł gordyjski, który w rozmaitych kierunkach bywa rozcinany, rozwiązać jednak stanowczo dotąd nikt go nie potrafił.

Otóż i Przemyśl, rozkładający się na ziemiach dawnej Chrobacyi, w początkach swoich ginie w dalekiej przeszłości,

Autor monografii, rozpatrując historyą tego grodu, dzieli je na cztery okresy.

I-szy lechicki-przedhistoryczny, obejmujący dzieje od czasów założenia grodu przez Lechitów, aż do zajęcia i przyłączenia takowego do Rusi przez Włodzimierza Wielkiego, to jest od roku 730 (?) do 971.

II-gi ruski, Przemyśl pod panowaniem książąt ruskich (od 971 do 1340 r.), aż do przyłączenia Rusi czerwonej do Polski przez Kazimierza Wielkiego.

III-ci, Przemyśl wcielony do Polski, aż do pierwszego rozbioru.

IV-ty, Przemyśl pod rządami austryackiemi.

Zaraz na wstępie wypadałoby nam zaznaczyć niewłaściwość tego podziału, a mianowicie: czy możemy położyć tak ścisłą granicę pomiędzy okresem pierwszym i drugim?

Nieulega wątpliwości, że Przemyśl początkowo był miastem polskiem. Sam autor monografii o tem nie wątpi. Wszakże u kronikarzy XV-go wieku a przedewszystkiem u Długosza znajdujemy wyraźnie powiedziane, że Przemyśl został założony w latach około 700 a 760 roku, ma się rozumieć po narodzeniu Chrystusa, przez niejakiego Przemysława księcia Lechitów, także Leszkiem albo Lisem zwanego, który właśnie pod owe czasy panował w ziemiach polskich, wreszcie sam źródłosłów najlepiej świadczy o początkach tego grodu, a co więcej, że Nestor kronikarz żyjący od 1050 do 1116 r. powiada: W lito (lato) ide (idzie) Wołodymir na Lachi i zaja (zajmuje) hrady *ich*. Przemyszl, Czerużeń i inny, które do dziś dnia (słowa kronikarza) są przy Rusi.

Samo więc wyrażenie *grody ich* jest wystarczającem, że Przemyśl do Lachów należał. Nie można więc z chwilą zawojowania Przemyśla przez Włodzimierza, zaznaczać okresu drugiego, gdyż już w 1018 r. o czem wie dobrze autor, Bolesław Chrobry Przemyśl do Polski przyłącza. Toż samo powtarza się za Bolesława II-go, Kazimierza sprawiedliwego i Leszka białego. Przemyśl więc i w tym okresie należy do Polski i tylko nieszczęśliwe jej położenie przyczynia się, że coraz to nowi osiadają tu rządzcy.

(*D. c. n.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Faustyn Świderski niegdyś pod nazwą Bociana, współpracownik „Wolnych Żartów" i ztąd jako *Eksbocian* zasilający prawdziwie polskim humorem dziś wychodzące pisma humorystyczne, donosząc w liście prywatnym o jarmarku w Żarkach pisze:

Jarmark Żarecki już się skończył. Na owym ośmiodniowym kiermaszu były pustki, nie tak jak to *in illo tempore* bywało, kiedy ś. p. Rajczak trąbił *orbi et urbi*, że krakowska szlachta zjechała na grunt miasta Żarek *cum magno honore et splendore*. Znając bardzo dobrze ciężkie dzisiejsze czasy i zły humor wszystkich moich dalekich i blizkich sąsiadów, kwaśne usposobienie w męzkim i żeńskim rodzie szlacheckim, byłem pewny:

Że się tu żadna Nimfa pewno nie pokaże,
Co brzdąkając na arfie albo też gitarze,
Zwracała niegdyś czule malowane lica,
By fałszowaną cerą usidlić szlachcica.

I dawne kawalery czerwonego nosa,
Amatorzy landsknechta, wielbiciele sztosa,
Nie będą okradali młodzieńców bezczelnie,
Bo strasznie chuda fara i cienko piekielnie,

Chłopi jednak w sam św. Stanisław zgromadzili się bardzo licznie, ani jednej baby i ani jednego chłopa z okolic nie brakowało.

A to z tego powodu, że swą ukochaną,
W każdej prawie chałupie mają szwarcowaną,
Co z Prus naszych sąsiednich, mówiąc między [nami,
Nie przychodzi, lecz płynie ciągle strumieniami.

Maciek, Wicek czy Kaśka wiedzie przyjaciela,
Żeby go uczęstować w izbie Izraela,
Żyd szczęście i pomyślność, zdrowie chłopu [kradnie,
Dlatego chłopski jarmark w Żarkach nie prze- [padnie.

Przy tej sposobności donosimy, że wszystkie dotychczasowe prace p. F. Świderskiego, drukowane w różnych pismach humorystycznych, zebrane w jedną całość, wyjdą w Częstochowie nakładem p. Juliana Fuchsa, prezesa straży pożarnej, który mający się ztąd otrzymać czysty dochód, przeznaczył wyłącznie na korzyść Autora. Będzie to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo zbiorowe, utworów czysto humorystycznych, w których obok prawdziwego dowcipu, znajdzie się zawsze szczypta poczciwej satyry.

Dziełko to ma wychodzić zeszytami, pierwszego już druk rozpoczęto.

*** Gazety krakowskie podają, że tamtejszy budowniczy miejski, inżynier Adolf Grochowalski wypracował plan przekopu kanału spławnego, łączącego Lwów z Sanem, pod Leżajskiem, zatem przez Wisłę z Warszawą i morzem Baltyckiem. Kanał ma mieć 10 metrów szerokości, 2 głębokości i 125 kilometrów długości. Koszt budowy obliczono na 8,000,000 złr. Autor pomysłu zamierza już w tym roku przedstawić odnośne plany, w celu zawiązania stowarzyszenia i ubiegania się o koncesyą upoważniającą wykonanie jego pomysłu.

*** Włocławek wyprzedza Warszawę; wkrótce zaprowadzone w nim zostanie oświetlenie elektryczne. Na odbytem niedawno posiedzeniu magistratu, zebrani obywatele projekt ten przyjęli, oznajmiając zarazem gotowość ponoszenia kosztów oświetlenia i upoważnili wyznaczony w tym celu komitet do wyjednania zatwierdzenia władzy i zawarcia układu z przedsiębiorcami. Na wielkie uznanie zasługuje, iż postanowiono powierzyć wykonanie mieszkańcom Włocławka, nie zaś, jak się to zwykle dzieje, obcym jakimś przybyszom.

*** Wiedeńska „Neue Illustrirte Zeitung" zamieszcza rycinę wykonaną z fotografii, a przedstawiającą bardzo piękną kobietę, której rysy zdradzają typ polski. Pod ryciną podpisane „Polka" a na następnej stronicy podane jest następujące objaśnienie:

„Któż nie zna owych pięknych, uroczych, pełnych ducha Sarmatek, jak stada przelotnych ptaków, zapełniających podczas sezonu kąpielowego, słynniejsze miasta lecznicze, roztaczających jakąś woń elegancyi i dystynkcyi, do najwyższego stopnia drażniących ciekawość niezrozumiałemi dla cudzoziemców dźwiękami swej mowy. Bo też Polka jest istotą niezwykłą, łączącą w sobie największe sprzeczności. Kto szuka w kobiecie kornego poddania się swej doli — tego Polka rozczaruje; kto jednak uwielbia kobietę burzliwą i namiętną, pełną siły i temperamentu, poświęcającą wszystko dla obowiązku i swego społeczeństwa — ten w Polce znajdzie swój ideał.

Wielką popełniają niesprawiedliwość ci, którzy Polki nazywają emancypantkami—są niemi może inne słowiańskie niewiasty — ale nie Polki. To co niektórzy uważają w nich za ekscentryczność i chęć zwrócenia na siebie uwagi, jest może pomimowolnem wyłamywaniem się ich silnej i niezłomnej natury z pod dokuczliwych więzów światowej konwencyonalności. Przeciwnie, Polki są mistrzyniami w prowadzeniu rozmowy i w obejściu towarzyskiem, i małe nawet w tym względzie usterki, którychby inne kobiety nie dostrzegły, nie ujdą ich wzroku i nagany. W towarzystwie Polka stara się o zachowanie form i względów towarzyskich; żywy, bystry jej umysł jest niezmordowany w rozmowach, a jednocześnie wzrok jej nie pozostaje bezczynny, wypowiadając częstokroć czegoby nigdy nie zdradziły dumne usta. Dumne są bowiem wszystkie Polki, dumne przede wszystkiem ze swej narodowości, z przeszłości swojej i z siebie samych. Uboga czy bogata, żebraczka czy księżna, każda z nich wie, że przede wszystkiem jest Polką."

Przyznać trzeba że wiedeński dziennikarz bardzo pochlebny sąd wydał o naszych rodaczkach.

*** Nakładem Biblioteki polskiej w Paryżu, wyszło dzieło pana Ludmira Gadon, członka rady Tow. Histo. Literackiego, p. n. „Z życia Polaków we Francyi". Jest to opis zawiązania się i stopniowego rozwoju Towarzystwa historyczno literackiego w Paryżu, które dnia 3 maja r. b. obchodziło 50-letnią rocznicę swego założenia, oraz zajmujący przyczynek do dziejów naszej emigracyi we Francyi. W zmiennych kolejach złej i dobrej doli przez jakie Towarzystwo to przechodziło, spotykamy nazwiska znakomitych i zasłużonych mężów jak: książę Adam Czartoryski, Mickiewicz, Słowacki, Lelewel, Bronisław Zaleski, i w. i., którzy nie szczędząc ofiar ani poświęceń i podtrzymując ducha polskiego na emigracyi, stali się pięknym i budującym dla innych przykładem. Niemniej ciekawy jest przebieg dziejów założenia i ciągłego wzrostu publicznej Biblioteki polskiej w Paryżu, która z 2,000 tomów w chwili zawiązania, wzrosła obecnie do 42,000 tomów, a oprócz tego posiada zbiór rękopismów, gabinet rycin, map i atlasów, oraz zbiór medali. Przy końcu dzieła pomieszczono dodatek, obejmujący ogólny spis członków oraz obecnego składu Towarzystwa, opis nagrobków Niemcewicza i Kniaziewicza, stosunek z Lelewelem i inne pomniejsze odnośne szczegóły i sprawy.

*** Włoska izba prawodawcza wygotowała projekt żądający przypuszczenia kobiet do głosowania w wyborach do honorowych władz prowincyonalnych. Kwalifikacyę stanowić będzie: 21 lat skończonych i posiadanie własności nieruchomej, od której wyborca-kobieta opłaca oznaczoną sumę podatków.

*** Wiadomo że od najdawniejszych czasów dynastya Habsburgów odznaczała się zawsze prawdziwą pobożnością, i cesarz Franciszek Józef nie odrodził się pod tym względem od swoich naddziadów. Ilekroć większą przedsiębierze podróż, towarzyszy mu nadworny kapelan i bierze z sobą w drogę ołtarz podróżny, mający swoją historyę. Pochodzi on jeszcze z czasów Rudolfa II; przy nim modlił się Ferdynand II; zabrał go z sobą Józef II wybierając się na wojnę turecką a w ostatnich czasach miał go z sobą brat cesarza austryackiego, Maksymilian, w swojej wyprawie do Meksyku. Ołtarz ten składa się z podłużnej skrzyni drewnianej, mocno okutej żelazem, której podniesione wieko przedstawia stary obraz, Wieczerzę Pańską. Dla nadania ołtarzowi potrzebnej długości, podnoszą się boczne ściany skrzyni, a cztery schowane w niej nogi opuszczone na dół, tworzą podstawę. Na tak powstałym ołtarzu umieszcza się na środku mały portatyl, kładzie się na nim trzy obrusy, stawia krzyż i świece. Ołtarz ten towarzyszył cesarzowi w czasie jego podróży do Ziemi Świętej, w 1869 r. i na otwarcie kanału Suezkiego. Kapelan i historyograf, Dr. Beda Dudik, odprawiał przy tym ołtarzu Mszę św. na pełnem morzu.

*** W Rzymie obchodzono dotąd zawsze z wielką uroczystością rocznicę założenia Rzymu, urządzano przepyszną illuminacyę w Koloseum i Forum; uroczystość ta przypada dnia 21 kwietnia. W tym roku obchód odłożono do czasu świetnych festynów wyprawianych z okazyi zaślubin księcia Tomasza Genueńskiego, z księżniczką bawarską Izabellą. Jeźli historycy się nie mylą, w tym roku 21 kwietnia, upłynęło 2637 lat od czasu założenia wiecznego miasta.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Suknia z vêtement. Odrobiona z gładkiego wełnianego materyału przybrana jest aksamitkami różnej szerokości. Vêtement rozchodzące się do dołu, zapięte tylko dwoma klamrami, dopełnione jest z tyłu prostym brytem, w górze upiętym na pukle nakształt szarfy. Przód tej sukni dajemy na ryc. 12 w N-rze 21. Kapelusz okrągły z kolorowej słomki, zdobny aksamitką, koronką i różami. Parasolik duży atłasowy z kolorową podszewką, ma na jednej kwaterce wyhaftowaną gałązkę kwiatów.

Suknia z pelerynką. Uszyta jest z gładkiego ciemno zielonego kaszmiru i z materyi jedwabnej w duże grochy. Tunika, prócz jednego tylnego bryta, stanik i pelerynka wcięta z tyłu, są z kaszmiru, suta riusza przy pelerynie dana z materyi jedwabnej, przybranie z aksamitki. Kapotka z ciemnej słomki, zdobna rozetą z pukli i bukietem drobnych róż.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Czapli. Żale w artykule bez tytułu wymienione, są bardzo słuszne i sprawiedliwe, ale nie sformułowane w ten sposób, aby całość stanowiły mogącą cały ogół zainteresować. Jest to jęk pojedyńczej osoby, duszy cierpiącej jako żona, matka i kobieta, ale nie rozprawa rzecz do gruntu wyczerpująca.

P. Władysławowi Buch. Wierszyk nadesłany będzie drukowany.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Мая 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 20, r. 1883.

STARY ZAMEK

(LA LIZARDIÈRE.)

ROMANS WSPÓŁCZESNY.

PRZEZ

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład **J. B.**

I.

Dolina Maulny.

Jak szczęśliwe ludy a najczęściej i uczciwe kobiety, rzeka Maulne nie ma historyi. Źródło swe czerpie w stawach Vivier-de-Loindes, około Courcelles, i tocząc swe fale od południo-wschodu ku północy, przez łąki i doliny, opływa ruiny pałacu de Maulne od którego bierze swą nazwę, zwraca się ku południowi i około Chapelle-aux-Choux wpada do Loary. Przepływając w ten sposób około 25 kilometrów, obraca koła kilku młynów, od czasu do czasu zalewa niektóre łąki, i poprzestając na tem nie żąda innej sławy.

Prześliczna jest ta prawie nieznana okolica Turenii (Touraine), szczególniej w jesieni, gdy piekące słońce, przyćmione nieco mgłą nadchodzącą od Andegawii, ozłaca promieniami swojemi zieleniejące szczyty otaczających wzgórzy. Mała rzeczka, długa dolina, szmaragdowe wzgórzyste wybrzeża, wszystko zdaje się spoczywać pod sklepieniem słonecznych blasków.

Aż do Baugé na drodze do Tours, Maulne'a jest prawie niewidzialną; zdawałoby się że goni za wszystkiem co ją ukryć może. Korzysta z każdego zagłębienia gruntu, z najmniejszej kępy drzew, z łąk wyższą porosłych trawą i więcej osłoniętych drzewami, aby się ukryć i zniknąć z przed oczu. Dopiero a podnoża Gauguier, zmuszona jest przepływać widocznie wielką kamienną arkadę na drodze do Rennes, mającej 12 metrów szerokości. Tu choć jeszcze chciałaby skryć się w zaroślach, dostrzega ją wzrok przechodnia; tu ma już nazwisko i musi poddać się wszelkiej złej czy dobrej doli jaka rzekę spotkać może. Pierwszym zaszczytem jaki ją spotkał było poprowadzenie drogi wzdłuż prawego jej brzegu; droga ta oddziela ją od ładnych wzgórz pewien cień rzucających na nią. Wszystko jakoś dobrze idzie aż do Marcilly, gdzie pozwoliła sobie roztoczyć swe fale aż na szerokie łąki podmiejskie, i dlatego po nad jej wodami zarzucono most kilkaset metrów długi, wśrodku którego urządzono schody prowadzące do pralni publicznej, zaś przy samem do niego wejściu wielką sadzawkę do pojenia bydła. Droga przebywa ten most nieszczęsny aby dostać się na lewy brzeg rzeki, i odtąd już go nie opuszcza.

Przez ten most zwany Marcilly-sur-Maulne, w roku 1868, w piękny dzień październikowy, przejeżdżała liczna i wesoła kalwakata.

Przodem jechał mężczyzna mogący mieć lat 55 do 60, wysoki, dobrze trzymający się na koniu. Jego krótko przystrzyżone włosy zaledwie zaczynały siwieć, wyraz twarzy zdradzał pewną śmiałość i wyniosłość, złagodzoną jednak łagodnem i rozumnem spojrzeniem.

— Rajmundo, rzekł, trzymaj lepiej cugle; wprawdzie te wieśniaczki bijące kijankami bieliznę, tworzą niby malownicze grupy, ale odgłos tych uderzeń mógłby przestraszyć twego wierzchowca.

— O! bądź spokojny, ojczulku, nie mam najmniejszej ochoty wpaść wraz z koniem w szumiące fale Maulne'y.

I końcem spicruty wskazała małą kaskadę jaką tworzyła rzeka wypadając z pralni.

Panna Rajmunda była podobna do ojca, wysoka, kształtnie zbudowana, błękitna amazonka odznaczała wybitnie jej jakby utoczoną figurkę. Z pod kapelusza używanego do konnej jazdy, wysuwały się wielkie blond warkocze spadające aż na ramiona, a jasny ich odcień podważał blask głębokich czarnych oczu. Gdy otwierała cokolwiek może za grube koralowe usteczka, perłowe ząbki zdawały się uśmiechać. Drobna, śliczna jej twarzyczka oddychała spokojem i stanowczością. Cała postać byłaby nadzwyczaj sympatyczną i pociągającą urokiem dziewiczego wdzięku, gdyby chwilami nie pojawiał się na jej twarzy jakiś dumny, imponujący wyraz.

Po za nimi jechało dwóch młodych ludzi, pewną ręką trzymających wodze swych pięknych czystej krwi wierzchowców, zdających się chełpić z tego że biegną w tak świetnem towarzystwie. Na końcu jechało dwóch służących w bogatej liberyi.

Prędko przeleciawszy przez most, kalwakata zwolniła biegu i wjechała w główną ulicę miasteczka Marcilly, nieco przypominającego miasteczka z Opery komicznej. Ładne mieszczanki siedzące przed domami przypatrywały się świetnemu towarzystwu, a jedna najpokaźniejsza z nich rzekła do towarzyszek.

— Jestto pan senator Désormes, z córką, synem i wspólnikiem swoim; poznaję ich dobrze, ponieważ niedawno widziałam ich na lodowej zabawie w Breche.

Stanąwszy przy końcu ulicy, gdzie droga rozdziela się na dwie strony, zwrócili się na wiodącą do Lude. Ztąd na lewo widać było wielki pałac feodalny wznoszący się na wzgórzu; nieco o podal z jednej strony stał olbrzymich rozmiarów gołębnik, z drugiej roztaczał się wysoki las. Do pałacu tego wiodła aleja wysadzona staremi kasztanami, a zakończająca ją żelazna krata z szeroko otwartą bramą, zdawała się przyzywać odwiedzających.

Pan Désormes zatrzymał konia i rzekł zwracając się do córki:

— Rajmundo, czy nie odwiedzimy pani de Chazé?

— O! dziś nie, kochany ojcze; nie jestem jakoś w usposobieniu ujmowania sobie i zjednywania względów hrabin starej daty, rzekła śmiejąc się.

— No, trzeba przyznać że nie jesteś legitymistką, odrzekł pan Désormes.

— Oh! ani trochę, przyznaję... Ale ty, ojczulku, dodała po chwili, musisz być zapalonym bonapartystą, skoro jesteś senatorem.

— O! moje dziecko, sam cesarz powiedział kiedyś żartując, że bonapartyści dzielą się na trzy rodzaje, z tych pierwszy tworzą legitymiści, drugi orleaniści a trzeci republikanie; ale rzeczywiście jes jeden tylko prawdziwy bonapartysta, to jest cesarz... a i ten jeszcze jest socyalistą.

— A czemże ty jesteś, ojcze? zapytał jeden z młodych usłyszawszy te słowa.

— Ja, Raulu, jestem liberalnym i konserwatystą.

Liberalnym w razie potrzeby, co się zdarza często, a konserwatystą zawsze. Nie zapominajcie o tej zasadzie, moje dzieci, bo jest rozumną i uzasadnioną... Czy podzielasz moje zdanie, Fryderyku?

— Najzupełniej, odpowiedział młodzieniec.

— Najrozumniejszą rzeczą jest patrzéć i podziwiać ten piękny krajobraz, rzekła śmiejąc się Rajmunda; żaden rząd na świecie nie wart pięknego zachodu słońca... Powiedziałeś przed chwilą, mój ojcze, że nie jestem legitymistką, a jednak mimo to mam pewną słabość do dawnych czasów.

— Powiedzże mi pod jakim względem?

— Oto chciałabym miéć taki starożytny zamek jak Marcilly; kazałabym go wyrestaurować, dodać piękne okna, a wewnątrz porozmieszczałabym starożytne meble, obicia, i dywany. Bardzo piękny jest nasz dom w Bruyeres, nie brakuje w nim nic pod względem mieszczańskiego zbytku i angielskiego komfortu, ale mimo to marzę w nim zawsze o starych zamkach z wieżycami, otoczonemi galeryą.

— O! bo ty Rajmundo, jesteś bohaterką Oktawiusza Feuillet lub Juljusza Sandeau, i niewodnie umiesz na pamięć *Koniec Romansu* Armanda de Pontmartin.

— Ten żarcik twój przyjmuję za komplement, braciszku, rzekła poważnie.

— Wiesz przecie, moje dziecię, że Marcilly nie jest do sprzedania, a pięknych ruin prawie nie ma w tej okolicy. O ile mi wiadomo, istnieje tylko zrujnowany pałac Vaujour, w pobliżu Château-la-Vallière; ale jest do koła oblany wodą, mogłabyś dostać febry spacerując po twoich galeryach.

— Co prawda, nie chciałabym otaczać się ze wszystkich stron wspomnieniami panny de la Vallière, — a potem nie lubię Ludwika XIV.

— Dlaczego?

— Właśnie z powodu tejże panny de la Vallière... Jednak mam przeczucie że znajdę moje wymarzone ruiny, i jeźli tylko pozwolisz, mój ojcze, zrobię z nich cud piękności.

— Z góry daję ci upoważnienie; masz złożone w banku 300 000 fr. możesz więc pozwolić sobie tej fantazyi.

— Może lepiejby zaczekać i zapytać o zdanie i zezwolenie przyszłego twego tyrana, kochana siostrzyczko, rzekł śmiejąc się Raul.

— Nie ma na świecie takiego coby kiedykolwiek mógł być moim tyranem odrzekła Rajmunda.

— Przecież masz już dwadzieścia jeden lat, śliczna moja siostrzyczko, a jestto właśnie wiek w którym tyranom szczęście sprzyja. Cóż ty na to, Fryderyku?

E! nudzisz mnie, Raulu, odparła. Znam ja pewnego braciszka, który zniechęcił mnie bardzo do wszelkiej tyranii, co przecież nie przeszkadza mi kochać go całem sercem... Ależ dość już tej próżnej gadaniny; popędźmy lepiej galopem.

I zaczęli galopować po bitej drodze, ciągnącej się teraz pomiędzy wierzbami po prawym brzegu Maulny. Niebawem dojechali do pałacu Maulne z którego jedno tylko pozostało skrzydło, oraz dwie naprzeciw siebie stojące budowle i stary gołębnik, który minąwszy, znaleźli się w miejscu gdzie droga rozdziela się, i oprócz prosto jedna idzie na prawo druga na lewo, ku lesistym wzgórzom.

— Rajmundo czy zwrócimy na lewo? zapytał pan Désormes.

— O nie! ojczulku, jedźmy prosto po nad wybrzeżem.

I popędzili dalej galopem. Nagle Rajmunda wstrzymała konia, mówiąc:

— Ach! patrzcie! patrzcie, tam na tem wzgórzu, o jakie sto metrów...

— Cóż tam tak godnego widzenia zobaczyłaś? zawołał Raul; ja widzę tylko małą fermę i gołębnik bez dachu, i nic szczególnego dostrzedz w nich nie mogę.

— O *frater ignorantissime!* Jestto zamek z XV stulecia, a to co bierzesz za gołębnik, to wieżyca, zdaje się dawniejszych sięgająca czasów. Ojczulku drogi, proszę cię pojedźmy tam zobaczyć.

I nie czekając pozwolenia zwróciła wierzchowca w wązką, do starego zamku wiodącą drożynę.

II.

Lizardière.

Całe towarzystwo znalazło się wkrótce przed wielką bramą, której pozostała tylko połowa drzwi, bardzo uszkodzona, trzymająca się zaledwie na nadłamanej zawiasie. Brama ta prowadziła na wielki dziedziniec na którym ledwie ślady bruku pozostały; po prawej jego stronie wznosiły się budowle gospodarskie rozsypujące się w gruzy, po lewej prawie tylko ruiny starego zamczyska, z wielką do upadku chylącą się wieżycą. Szczątki tylko galeryi otaczały peron prowadzący do głównego wejścia, schody jego pozbawione były kilku stopni, pozostałe, strawione wichrem, słońcem i deszczem, lada chwila groziły zapadnięciem. Niektóre z okien fasady pozabijane były nie schodzącemi się z sobą deskami, inne pozbawione swych kamiennych obsad, popodpierano klockami drzewa, aby się sklepienie nie zapadło. Żółto-zielony mech osiadł na kamiennych ścianach od ziemi aż do dziurawego, tu i owdzie zapadającego się dachu. Na tym mchowym kobiercu, deszcze zaznaczyły szerokie zawsze wilgotne bruzdy, na które patrząc zdawało się że gmach stary łzy leje — i ruiny umieją płakać jak ludzie.

W głębi, między zamczyskiem a zabudowaniami, stał mur w połowie już obalony i dwa stuletnie drzewa orzechowe, osłaniające go swym cieniem.

Gdy wesoła kalwakata wjechała w dziedziniec, od strony drzew dało się słyszéć gwałtowne szczekanie, i ogromny pies rzucił się ku niespodziewanym gościom.

— Klodion tu! ktoś zawołał.

Pies był posłuszny, poszczekując wrócił pod drzewo z pod którego został przyzwany, i stanął przy swoim panu. Był to młody mężczyzna siedzący na kamieniu z rozwalonego muru.

Wstał i wsparty na silnym wcale nie eleganckim kiju, milcząc patrzył na przybyłych. Wielki prosty słomiany kapelusz osłaniał jego głowę; miał na sobie ubranie myśliwskie z ciemnego aksamitu, i skurzane kamasze spadające na ordynarne grubo potkute buty. Długie ciemne włosy spadały na szerokie ramiona, otaczając szczupłą twarz, w której błyszczały smutnie patrzące niebieskie podsiniałe oczy; wszystko to połączone wytwarzało jakiś rodzaj utożsamienia i podobieństwa, zachodzącego między tym młodzieńcem i otaczającemi go ruinami.

— Musi to być fermier albo syn jego, rzekła po cichu Rajmunda do ojca, trzeba go się zapytać.

To powiedziawszy podjechała ku nieznajomemu i rzekła lekko kiwnąwszy głową:

— Bądź tak dobry, mój przyjacielu...

Usłyszawszy te słowa: *mój przyjacielu* młody człowiek zdjął kapelusz i tak iskrzący wzrok wlepił w Rajmundę, że zmięszana i zarumieniona dodała:

— Daruj pan, ale okolica ta jest nam nieznana; przejeżdżając zobaczyliśmy to zamczysko z jego wysoką wieżycą, i pragnęlibyśmy bardzo zwiedzić go i dowiedziéć się jego nazwy.

— Chciej pan wybaczyć ciekawość mojej córki; rzekł pan Désormes przysuwając się, jest trochę artystką, i uderzona widokiem tych pięknych ruin, staje się może niedelikatną.

— Nie można stać się niedelikatną jeźli się jest grzeczną, odrzekł z uśmiechem młody człowiek.

Znikł blask który jak błyskawica chwilowo twarz jego ożywił, i w oczach teraz malował się już tylko rzewny smutek, widać zawsze z nich patrzący.

— Więc jakże nazywa się ten zamek? spytała Rajmunda.

— Lizardière.

— Piękna nazwa i piękne zwaliska, odpowiedziała. Czy można je zwiedzić.

Teraz z kolei twarz młodego człowieka pokryła się rumieńcem; zdawał się namyślać, po chwili przecież rzekł z pełną godności stanowczością:

— Mniejsza o to... proszę państwa.

Rajmunda, ojciec jej, brat i pan Fryderyk zsiedli z koni oddając je służącym, i poprzedzeni przez młodego nieznajomego, zwrócili się ku peronowi i drzwiom wchodowym. Otworzył je i cofając się nieco, skinieniem głowy prosił przybyłych aby weszli do wnętrza; lecz w tejże chwili pies jego wpadł między pana swego i jego nieproszonych gości i grożąc najezdnikom zaczął ujadać zawzięcie

— Jakoś Klodion nie łaskaw na nas, rzekła śmiejąc się Rajmunda, i gdyby zamek ten nie był w stylu odrodzenia, możnaby zamieścić nad wejściem starożytny napis: *Cave canem!*

— Klodion nie umie po łacinie, ale rozumi trochę po angielsku. Klodin, tu! *Go and take of te goat!*

— A ma to znaczyć? zapytał pan Désormes.

— Idź pilnuj kozy.

Klodion zrozumiał; zbiegłszy prędko po schodach peronu, poleciał na poblizkę łąkę ocienioną dwoma staremi drzewami orzechowemi, i wkrótce dało się słyszéć beczenie witającej go kozy.

— Jakiś osobliwy fermer! rzekł cicho do córki pan Désormes, wchodząc do zamku.

— Który bardzo mi się niepodobał mruknął pan Fryderyk.

Niestety! te ruiny tak malowniczo przedstawiające się zewnątrz, wewnątrz odstraszały strasznem spustoszeniem i nędzą. Cały parter był obrazem pustki i zniszczenia. Żadnych tu nie było mebli. Od spruchniałych belek opuszczała się pajęczyna; posadzki nie było śladu; w oknach ramy bez szyb; omszone i porysowane ściany czarne od wilgoci; nagle brakło gruntu i okazywała się jakaś bezdenna otchłań — były to dawne lochy pozbawione sklepienia — a przyczepione u sufitu gniazda nietoperzy, utworzyły na nim jakby gzymsy powstałe z nieczystości. Oto co jedynie można było widziéć na parterze.

Sama tylko kaplica leżąca w końcu długiego korytarza, zachowała jeszcze pewne ślady dawnego bogactwa i piękności. Freski, w rodzaju Giota oparły się zniszczeniu, a dwaj kamienni aniołowie strzegący ołtarza, zdawali się modlić za dusze dawnych panów zamku spoczywających w podziemnych grobach, które nietylko czas ale i rewolucyę uszanowały.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

PRZEZ

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

Przez K. P.

I.

Matka i córka.

Wysoko, między ziemią i niebem, na czwartem piętrze wielkiego domu wcale nie pociągającej powierzchowności, stało w otwartem oknie śliczne dziewczę, wpatrujące się pełnym zachwytu wzrokiem w lekkie białe chmurki, przesuwające się na błękitnem tle nieba. Gdy wschodziło wolno i majestatycznie, oczy dziewczęcia błądziły po rozległym obszarze, osłoniętym jeszcze leciutką mgłą łagodzącą koloryt krajobrazu. Zielone pola i łąki ciągnęły się aż do lasku ciemniejszej od nich barwy, ocieniającego domki rozsypane na jego brzegu. Wprawdzie zbytnia odległość i niepewne jeszcze światło, nie dozwalało dostrzedz wszystkich szczegółów urozmaicających widok, ale pomimo to całość była prawdziwie uroczą.

Ten świeży krajobraz stanowił wybitną sprzeczność z otaczającemi go od strony miasta ramami; był to zbiór poczerniałych domów, tak z sobą ściśniętych, jak gdyby miały stanowić wał nie przepuszczający powietrza i światła. Powyszczerbiane kominy sterczały w górę wzdłuż ciasnej i krętej uliczki, mającej tak smutną powierzchowność jakby jej ciężko było patrzeć ciągle na ciągnące się wzdłuż niej szeregi starych i brzydkich domów, których ciasne podwórka były podobne do studni pozbawionych na zawsze promieni słońca. Gdzie niegdzie ukazywał się mały ogródek wraz ze swą chorobliwą zielonością, lub jakieś drzewko starało się wyciągnąć dość pożywnych soków z kamienistego gruntu, aby stać się podobnem do swych braci z lasów, ale w końcu sił mu nie starczyło, i pozostawało nędzne, karłowate, tak smutne jak otaczające je budynki.

Jednak ten widok tak posępny powiększał jeszcze świetność tego ślicznego poranku wiosny. Patrząc na kominy buchające w górę kłębami czarnego dymu, można było sądzić że usiłowały zaćmić jasny i świetny błękit nieba, gdy tymczasem stare dachy i mury przybierały pozór młodzieńczej wesołości, skoro na nich spoczął promyczek słońca.

Dziewczę stojące w oknie zdawało się z przyjemnością napawać tym widokiem, i spojrzenie jej raczej myślące niż rozmarzone przenosiło się to w tę to w ową stronę. Pukiel czarnych jej włosów wysunął się z pod jedwabnej siateczki i poruszany wiatrem muskał ją po świeżej twarzyczce, której żywe rumieńce stanowiły harmonijną całość z delikatną ale śniadą cerą.

Gdy oczy jej zatrzymały się na niekształtnej masie budynków stanowiących miasto, uśmiechnęła się i przyłożywszy palce do ust, przesłała pocałunek w tę stronę, potem zaczęła coś nucić czystym i dźwięcznym głosem, jakby dla powitania jutrzenki, światła i życia.

Umilkła nagle, a oczy jej zwróciły się znów na skupiające się co raz więcej chmurki, i posuwające się w jedną stronę z majestatyczną powagą. Odeszła od okna, przyciągnęła do niego stalugi z narysowanym poprzedniego dnia szkicem, któremu zaczęła przyglądać się bacznie.

„Sądzę że tak będzie dobrze, powiedziała po chwili.

Wzięła pędzel i paletę i gorliwie zajęła się pracą. Szło jej teraz o to aby mogła odtworzyć jak najwierniej to co matka natura roztacza przed naszemi oczami, nie dbając czy przyjmujemy jej dary obojętnie czy też z zachwyceniem. Gdy tak siedziała pochylona nad płótnem, można było podziwiać piękny profil jej ślicznej twarzy. Lekka suknia pokrywająca wysmukłą kibić, uwydatniała prześliczne kształty jej biustu i ramion. Biała ręka posuwała się co raz pewniej i śmielej, a na policzki występował pałający rumieniec.

Chusteczka którą miała na sobie stojąc przy oknie, spadła jej z ramion i zsunęła się na ziemię; czarne włosy uwięzione przedtem w siateczce, wydobyły się na wolność i spadały na plecy, a dziewczę zajęte swą pracą nie spostrzegło nawet tego. Trzeba się było śpieszyć bo słońce podnosiło się co raz wyżej, a chmurki co chwila zmieniały kształty, utrudniając tym sposobem zadanie młodej malarki. Wkrótce jednak wstała, i cofnąwszy się o parę kroków, zaczęła się uważnie przypatrywać swej pracy.

„Słońce zaledwie wstało, a ty już pracujesz Teodoro, odezwał się w drugim pokoju głos łagodny, i prawie jednocześnie, osoba z której ust wychodził, ukazała się na progu.

— Dzień dobry, droga mamo, zawołała Teodora. wstałaś także bardzo rano; jestem pewna że to mój śpiew cię obudził. Żałuję że nie pomyślałam o tem wcześniej, i nie zachowywałam się ciągle tak cicho jak z początku; ale gdy spojrzałam w tę stronę w której mieszka Fryderyk, zapomniałam o wszystkiem; przesyłając mu z daleka dzień dobry, czego on nie domyśla się zapewnie.

— Nie troszcz się o mnie, moje dziecię, odpowiedziała z uśmiechem matka, bardzo mnie to cieszy że wstałam wcześniej; w porannych godzinach umysł jest najświeższy, zabiorę się też zaraz do pracy, i napiszę artykuł do dziennika, zanim mi jeszcze przyniosą korekty. Przedewszystkiem jednak zobaczę twój krajobraz.

Stanęła przed stalugami i patrzyła długo i uważnie.

— Koloryt dobry rzekła nakoniec, ale chmury nie są dość lekkie, i mają zbyt wyraźne kontury.

— Postaram się wykończyć to jak najlepiej, mamo, ale jeżeli je zmienię, zniweczę tym sposobem harmonię całości. Zresztą moje chmury są dobre, gdyż za wzór służyły mi utworzone przez samą naturę. Jakie to szczęście mieć takie mieszkanie jak nasze, gdzie mamy tak zachwycający widok, i gdzie bez najmniejszego trudu, można malować z natury, niebo, pola, łąki i lasy. Tylko, niestety! chmury są w tem podobne do dzieci, że nie umieją pozować spokojnie, gdy je ktoś chce odmalować. Musiałem się bardzo śpieszyć aby mi nie uciekły zanim wykończę ich portret.

— Twoje purpurowe rumieńce są najlepszym dowodem tego pośpiechu, odpowiedziała matka, i podniosłszy chusteczkę z ziemi okryła nią córkę.

Teodora roześmiała się i rzekła biorąc znów pędzel:

— Farby wysychają, a mój krajobraz jeszcze nie wykończony, muszę się śpieszyć.

Matka nie sprzeciwiała się temu i zostawiła ją przy stalugach, sama zaś okryła się szalem niegdyś bardzo pięknym, ale teraz już spłowiałym i zniszczonym, a następnie usiadła przy stoliku, i wkrótce pióro jej zaczęło posuwać się po papierze z szybkością zdradzającą wielką wprawę. Nocny czepek ogarnirowany pożółkłą koronką, służył za ramy twarzy pomarszczonej, ale łagodnej i rozumnej. Ta siwiejąca już głowa wraz ze złotemi okularami na nosie, nie odpowiadającym wymaganiom klasycznej piękności, stanowiła wybitną sprzeczność z całą postacią Teodory, wysmukłej jak topola, a świeżej jak

wiosenny poranek. Pracowały długo bez przerwy i w milczeniu, tak że słychać było skrzypienie pióra po papierze, i dopiero po dość długim przeciągu czasu odezwały się jakieś ciężkie kroki na schodach, prowadzących do ich mieszkania.

— A! to Merkury, rzekła Teodora otwierając drzwi, przez które wszedł kilkonastoletni chłopiec, z bardzo starą twarzą i garbem na plecach.

— Dzień dobry, panience, dzień dobry pani radczyni, odezwał się chłopiec astmatycznym głosem, podając Teodorze dziennik.

— Czy Grizela prędko przyjdzie?

— Tak; mydli bieliznę.

Po tej lakonicznej odpowiedzi, Merkury spuścił powieki tak ciężkie że trzeba się było dziwić jakim sposobem mógł je otwierać, wyjął z szafy szczotki, jakieś płócienne i wełniane szmaty, i wytoczył się na wygiętych w kabłąg nogach do sypialnego pokoju gdzie wkrótce zaczął froterować oddychając głośno. W parę minut później drzwi znów się otworzyły, i wbiegła do mieszkania żwawo siostra Merkurego, Gryzela czyli Gryzelda, ładna, szesnastoletnia dziewczyna, niosąc dzbanek z wodą i koszyk z żywnością. O ile Merkury poruszał się ciężko i jakby z trudnością, o tyle siostra jego była zręczna i zwinna, oboje wszakże byli w tem podobni do siebie, że wypełniali sumiennie obowiązki swej służby.

— Dzień dobry, pani! dzień dobry kochanej panience. Czy panie dobrze spały? zapytała Gryzela, równie rozmowna jak żwawa, przywiązując szeroki niebieski fartuch. Potem pocałowała z uszanowaniem w rękę panią radczynię, stanęła za krzesłem Teodory, i przypatrzywszy się wykonemu przez nią dziełu, rzekła:

— Ładne, bardzo ładne!

Dowiodłszy tym sposobem że poczucie artystyczne pań oddziałało i na nią, Gryzelda oddała się już całkiem obowiązkom ciążącym na niej, a mianowicie utrzymaniu w domu porządku, i załatwieniu różnych zajęć gospodarskich. Pobiegła do kuchni, rozniecila ogień i przystawiwszy do niego rondelek z wodą, pośpieszyła natychmiast do sypialnego pokoju, gdzie brat niekiedy bierze na siebie część przypadającej na nią roboty, gdyż Gryzela musi jeszcze opiekować się chorym ojcem i małą siostrzyczką, a prócz tego na nią także spadają wszelkie kłopoty o które tak łatwo w ubogim domu. Pani radczyni nie miała nic przeciwko takiemu podziałowi pracy, byle tylko wykonywano ją o ile można najciszej i nie zakłócano niczem jej spokoju.

— Kawa już gotowa, rzekła Gryzela po niejakim czasie.

Chciała postawić tacę na stole, ale był tak założony papierami i książkami, że nie było na nią miejsca. Namyślała się chwilę, a w końcu odrzuciła na bok plikę papierów, na zdobytym w ten sposób miejscu postawiła imbryczek i filiżanki, jakby za jakim obronnym wałem.

Pomimo zaproszenia Gryzeli, żadna z pań nie wstała od roboty, sprytna dziewczyna chcąc je niejako zmusić do tego, zaczęła trzepać stojącą w pokoju sofkę.

— Dajże temu pokój Gryzeldo, zawołała przestraszona radczyni. Nie zamiataj i nie porządkuj tu dziś wcale; jutro będziesz mogła robić co ci się podoba.

— O! ty złośliwe uosobienie porządku i czystości! zlituj się, nie rozrucaj moich rysunków i notatek, rzekła Teodora, uderzając ją lekko po plecach oprawą pędzla.

Gryzela zapytała śmiejąc się, czy jej nie wydadzą jakich rozkazów, a gdy jej odpowiedziano że żądają jedynie zupełnej spokojności aż do obiadu, ukłoniła się i wyszła.

Zaledwie ucichła piosneczka nucona przez nią na schodach, gdy Merkury wyszedł z drugiego pokoju i zbliżył się do stołu.

— Czy mi panie nie dadzą jakiego polecenia? zapytał jakimś sennym głosem.

— O! z pewnością, i nawet nie jedno rzekła Teodora. Potrzebuję cynobru i brystolu; powtóre zamienisz te nuty na inne, których tytuł wypisałam na tej kartce, a potrzecie uwiadomisz kupca aby ramy do mego obrazu były jutro gotowe.

— Oto jest rękopism który odniesiesz do drukarni, rzekła radczyni do Merkurego, który zwrócił się do niej, z taką miną, jak gdyby nie tylko nie rozumiał co do niego mówią, ale nawet nie wiedział czy sam żyje na świecie — jakkolwiek nie było tak rzeczywiście. Następnie wejdziesz do księgarni i powiesz aby mi przysyłano pismo w piątek, a nie jak obecnie we środę; po drodze zaś wstąpisz do doktora Baum'a, i oddasz mu ten bilecik.

— Czy mama pisze do niego w jakim interesie?

— Tak, ma przysłać mi najświeższą powieść Turgeniewa, abym napisała o niej sprawozdanie.

— A prócz tego, Merkury, dodała Teodora, kupisz mi książeczkę listowego papieru, flaszeczkę niebieskiego atramentu, i pudełeczko złotego piasku.

Chłopiec wziął pieniądze nie mówiąc ani słowa i zwrócił się ku drzwiom, trzymając głowę tak prosto i sztywno jakby niósł na niej szklankę pełną wody, i obawiał się rozlać choćby kropelkę. Zaledwie jednak wyszedł do sieni, radczyni podniosła się prędko i zawołała.

— A! byłabym zapomniała! Wróć się jeszcze Merkury. Kupisz funt świec stearynowych i funt takiej herbaty jak była ostatnia. Powiedz także mleczarce że nie powinnaby tak okrutnie obchodzić się z nami, przysłała nam mleko tak niebieskie jak najpiękniej wypogodzone niebo.

Merkury skinął głową na znak że zrozumiał i oddalił się już stanowczo, obie zaś panie ucieszone tem że im nikt przeszkadzać nie będzie, wróciły do pracy.

— Mamo! a nasza kawa, zawołała nagle Teodora.

— A! prawda, zapomniałam o niej zupełnie, odpowiedziała matka, i poszła do szafy po cukier i masło, gdy tymczasem Teodora odsuwała papiery na drugą stronę stołu.

— Wczoraj zjadłyśmy już resztę masła, a ja zapomniałam o tem, zawołała z pewnem niezadowolnieniem pani radczyna.

— Nie ma się znów czem tak bardzo martwić, powiedziała Teodora, zjemy po kawałku suchego chleba, a to przecie nie jest jeszcze nieszczęściem; tem więcej że wszelkie tłuszcze są nie strawne i psują płeć. Mamo, to jakiś feralny dzień, dodała śmiejąc się i pokazując zupełnie próżną cukierniczkę; będziemy pić kawę bez cukru, jak Turcy. Niektórzy utrzymują że taka najsmaczniejsza, że cukier woń jej odbiera. Pocieszajmy się tą nadzieją że Gryzela nie domięszała zbyt wiele cykoryi.

— Doprawdy, gniewam się na siebie samą, odezwała się znów matka, że zapomniałam o cukrze.

Teodora, śmiejąc się ciągle, pobiegła po książkę leżącą na półeczkach, i otworzywszy ją zaczęła czytać głośno:

Serce moje czemu uskarżasz się ciągle?
Po co te troski, smutki, udręczenia?
Pozwól niech cię uniesie zefir skrzydlaty
W błogie dziedziny poezyi,
Gdzie dusza przejęta zachwytem
Zapomina o wszelkiej niedoli.
Gdzie już nędza ziemskiego żywota
Nie może naruszyć spokoju serca.

— I moja kochana mama, która napisała te wiersze, miałaby smucić się tem że jej zabrakło cukru do kawy? Nie, temu nie mogę uwierzyć!

Pani radczyni roześmiała się, i nic już nie mówiąc połknęła prędko gorzką kawę z suchym chlebem, aby jak najśpieszniej wrócić do przerwanej na chwilę pracy. Teodora zaś zbliżyła się natychmiast do fortepianu, nie pomyślawszy nawet o tem że wartoby sprzątnąć resztki śniadania.

— Czy mama nie miałaby nic przeciwko temu, gdybym teraz poświęciła godzinkę czasu Bethowenowi? Nie chcę zaraz wracać do moich stalug, bo sądzę że trochę później łatwiej mi będzie dostrzedz, co jeszcze trzeba poprawić w moim krajobrazie.

— Możesz grać dopóki ci się podoba, wiesz że lubię muzykę i słucham jej zawsze chętnie, odpowiedziała matka, nie podnosząc nawet głowy.

Białe i zgrabne palce uderzyły natychmiast w klawisze, a w pokoju rozpłynęły się dźwięki nieporównanej sonaty, wykonanej z prawdziwym talentem.

Matka i córka zatopione w swych artystycznych zajęciach, zdawały się zapominać o istnieniu rzeczywistego świata i o wszelkich jego wymaganiach. Na nieszczęście poziome i nielitościwe kłopoty codziennego życia, zwracające niekiedy ich myśli ku ziemi, zamącały im spokój. Tegoż samego dnia wieczorem zdarzyło się właśnie coś podobnego. Teodora czytając z najgłębszem zajęciem jakąś książkę, spostrzegła wtenczas dopiero że się zmierzcha, gdy już prawie nie mogła rozpoznać liter.

— Zapomniałam zupełnie, zawołała z przestrachem, że mam być dziś na wieczorku u Bianki Hofmann. Ani spostrzegłam kiedy słońce zaszło, a Fryderyk jest tak nieznośnie punktualnym, że lada chwila przyjdzie po mnie. Droga, ukochana, najlepsza mateczko, rzuć twoje pióro, a przybądź na pomoc twojej Teo. Inaczej nie będę mogła ubrać się tak prędko.

Ten głos na pół wesoły, na pół żałośliwy oderwał matkę od pisania, i zaczęły przewracać wszystko w komodach i szafach z gorączkowym pośpiechem, dowodzącym że nic nie leżało na właściwem miejscu, i że trudno im było wywiązać się nawet z najdrobniejszych zajęć praktycznego życia. Jednak jeżeli wrodzona niedbałość Teodory nabawiała ją często kłopotów, to dopomagała jej także do znoszenia ich wesoło i filozoficznie.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 20.

N. 1—3. Ubrania spacerowe dla pań i dzieci.

N. 1. Ubranie z bluzką, dla małej dziewczynki.

Długą bluzkę robi się na gładkiej, luźnej podszewce, a w zwierzchnim materyale dodaje się do pleców i przodów na 4 cent szerokie kontrafałdy. Spódniczkę 15 cent. długą w kontrafałdy ułożoną w wązki pasek wszytą, przyszywa się do bluzki. Kołnierz marynarski mankiety i szarfa 20 cent. szeroka, z boku na kokardę związana, są z materyału w kratkę. Guziki ażurowe stalowe.

N. 2 i 29 i ryc. 13 w N. 21. Suknia z garnirunkiem z pukielków.

Suknia kaszmirowa poziomkowego koloru, ozdobiona jest aksamitką ciemno bordo, 2 cent. szeroką, naszywaną w odstępie 1 cent., w paski proste zakończone u dołu pukielkami. Na plisowanym, 43 cent. szerokim wolancie spódnicy, garnirunek z aksamitki pokrywa prawie zupełnie patki 10 cent szerokie; na staniku zdobi część kamizelkową i mankiety. Model i miary draperyi dajemy na ryc. 29; część przednią z jednego boku podpiętą kokardą z szerokiej aksamitki, układa się z dwóch, poprzecznie zeszytych brytów *a* i *b*; bryt tylny *c* z jednego boku podpięty jest w głęboki pukiel, od krzyżyka do punktu, z drugiego brzegu podniesiony w górę gwiazdką do gwiazdki, a w środku w bufy przyfałdowany w miejscach na modelu oznaczonych. Zewnętrzne brzegi draperyi zakończone są obrębem 5 cent. szerokim. Na r. 13 w N. 21 widzimy w jaki sposób upina się baskinę krajaną razem z pleckami.

N. 3. Ubranie dla chłopczyka lat 5—8. Majtki ze stanikiem i żakieta, krój podług r. 28 w N. 19 z r. 1882.

Model odrobiony z sukienka granatowego, oszyty był sutaszem i ozdobiony guziczkami stalowemi. Majtki z boku zapinane, przypinają się do staniczka spodniego, zrobionego z podszewki. Do szeroko otwartych przodów żakiety, dodane są części kamizelkowe z długą baskiną, a przy brzegach bocznych przykrawa się patki 10 c. długie, ozdobione guziczkami; przy środkowym szwie pleców zostawiony rozporek 5 c. długi. Mankiety są 9 cent. wysokie, a patki przy kieszeniach 15 cent. długie a 9 wysokie.

N. 4. Chusteczka z żabotem.

Pięć cent. szeroki pasek sztywnego tiulu, pokryty był skośnie uciętym, 15 cent. szerokim i odpowiednio długim kawałkiem blado niebieskiej surah, założonym w górze na nagłówek 3 cent. szeroki, poniżej tego trzy razy przemarszczonym, u dołu raz zmarszczonym i w bufkę spuszczonym. Żabot składa się z dwóch końcy w węzeł przerzuconych, mających 28 i 22 cent. długości a 38 szerokości, u dołu 10 cent. szeroką koronką oszytych i kilka razy przemarszczonych.

N. 5. Chusteczka szmizetkowa.

Służąca głównie jako dopełnienie stanika z kwadratowym lub otwartym szalowym wykrojem, zrobiona była z żółtawej jedwabnej gazy i koronki irlandzkiej albo wyszywanej na cienkim tiulu. Trochę zaokrąglony kołnierz, mający 24 cent. górnego, 27 cent. dolnego obwodu, a 6 cent. szerokości kraje się podwójnie z muślinu, pokrywa gładko koronką 8 cent. szeroką, której brzegi poprzeczne, oszyte są pikotami, u dołu dodaje się takąż koronkę plisowaną, z przodu do 4 cent. zwężoną. Szmizetkę przymarszczoną i do kołnierzyka przyszytą, robi się z dwóch kawałków żółtawej gazy 33 cent. długich a około 30 szerokich, z przednich brzegów koronką oszytych, w odstępach 10 cent. listewkami podszytych, wązką wstążeczką nawleczonych, która służy do przymarszczenia i wiązania szmizetki z przodu. Końce szmizetki są z boków skośnie zwężone, od dołu pod spód do listewki podwinięte i w bufę spuszczone.

N. 8—9. Laski do parasolików.

Ryc. 8 przedstawia czarną bejcowaną laskę, w górze zakończoną widełkami, do których przymocowana jest rękojeść w kształcie półksiężyca. Na ryc. 9 podajemy laskę sękatą, naturalnego koloru drzewa, niby korzeniem okręconą i ozdobioną jedwabnemi sznurami i kwastami; w miejsce rączki dodane duże koło metalowe, które może być na rękę zakładane.

N. 10 i 18—19. Spódnica do sukni.

Na gładką, niewidzialną z pod garnirunków spódnicę, potrzeba około 4 i pół metrów materyału pojedyńczej szerokości. Zwykle robi ją się z alpagi, satynki lub z innego bawełnianego materyału. Dolna szerokość wynosi 200 do 220 cent. a różnica w długości tylnej od przedniej 2—3 cent. Na ryc. 18 dajemy model i miary spódnicy złożonej z czterech brytów; w prosty bryt tylny nawłóczy się stalki, a w górze dodaje poduszeczkę włosienną mającą 20—24 cent. wielkości. Urządzenie takiej turniury, wskazaliśmy na ryc. 15 w N. 18 Tygodnika Mód; niższa stalka powinna być o 5 cent. dłuższa od górnej. Przy modelu do ryc. 10 wolant plisowany miał 56 cent. szerokości; na sutą, w koło upiętą draperyę potrzeba 3 metry materyału podwójnej szerokości, bo bryt tylny jest co najmniej 120 cent. szeroki. Na ryc. 19 dajemy model i miary draperyi, złożonej z dwóch brytów: *a* przedstawia połowę bryta przedniego, *b* połowę tylnego. W środku bryt przedni podnosi się w górę gwiazdką do gwiazdki, z boków sfałdowany suto podług znaków, podchodzi pod upięcie tylne, obiedwie części u dołu zakończone są obrębem 4 cent. szerokim. W koło spódnicy w górze dodany jest jeszcze puf, razem z nią w pasek wszyty, zrobiony z kawałka 250 cent. długiego a 40 szerokiego, złożonego w cztery 13 cent. szerokie, podwójne kontrafałdy.

N. 14. Krótka spódniczka.

Robota szydełkowa z wełny kolorowej. Ścieg prosty na karczek i ścieg w zęby na spódniczkę robić podług próbki do pelerynki, danej na ryc. 39 w N. 16 Tygodnika Mód.

N. 15. Spódniczka z falbaną ozdobiona aksamitką.

Model spódniczki odrobionej z surowego, mocnego, wełnianego materyału w drobną kratkę, mającej 90 cent. długości 200 dolnej szerokości, wszytej w górze w pasek kolisty 12 cent. szeroki, zdobiła falbana 20 cent. szeroka; ułożona w kontrafałdy 3 cent. szerokie, z równie szerokiemi odstępami, przystębnowana pod wązki obrąbek spódnicy. Między fałdami naszyte były pasy z materyału w większą kratę, ozdobione poprzecznemi patkami z aksamitki 5 cent. szerokiej.

N. 16—17. Serweta na środek nakrytego stołu. Haft na płótnie.

Trzy kwadraty równej wielkości haftowane na grõbem płótnie domowej roboty, złączone ze sobą wstawkami z 7 cent. szerokiej, nicianej koronki, w koło oszyte koronką 9 i pół cent. szeroką, tworzyły ozdobną serwetkę. Na r. 16 dajemy w naturalnej wielkości jeden narożnik haftu, otaczającego wszystkie kwadraty; w hafcie tym na środkowym kwadracie, odrabia się w środku monogram lub herb; na figurki umieszczone w kwadratach brzeżnych podamy deseń później. Kontury deseniu robić ściegiem sznureczkowym, grubą bawełną do haftu, ponsową lub szafirową i białą, a ścieg cierniowy na liściach i kratkę ażurową w narożnikach, grubemi nićmi „Königsgarn“.

N. 20—21. Koronki do kołnierzyków stojących „col militaire“.

N. 20. Koronka irlandzka.

Robić ją można na cienkim tiulu białym, czarnym lub écru, tasiemeczką medaljonową i gładką w takim jak tiul kolorze. Małe muszki na tle są dziergane, a brzegi koronki oszyte koronkowemi pikotami.

N. 21. Koronka wyszyta na tiulu.

Pięknie i bogato przedstawia się koronka, gdy kontury wywiedziemy nicią złotą a środek deseniu zapełnimy jedwabiem takiego jak tiul koloru.

N. 22—23. Pelerynka z torsad robionych na widełkach.

Na pelerynkę podaną na ryc. 22 potrzeba pięć rzędów torsad robionych na widełkach 6 c. szerokich, z włóczki perskiej, czarnej „crevel“. Łatwa i powszechnie znana robota torsadki nie potrzebuje opisu; dodamy tylko że rzędy łączą się tylko jedne z drugiemi, przewłócząc szydełkiem, cztery pentelki, jednej przez cztery drugiej torsadki, jak to próbka ryc. 23 wskazuje. Ostatnią torsadkę u dołu pelerynki trzeba z brzegów przedłużyć po 22 c., ażeby zakończyć nią brzegi przednie; przyczem pentelki brzeżne spadają luźno nakształt frendzelki, a z drugiej strony torsadki są jedne przez drugie przekładane i przykrywają nakształt plecionki, zakończenie brzegów pelerynki. Luźno zostawione pentelki u dolnej torsadki, trzeba zebrać po kilka razem i sakończyć pomponem i kwaścikiem z perełek, jak na ryc. 23. W górnym brzegu



Ubrania spacerowe.

N. 1. Sukieneczka bluzkowa dla małej dziewczynki. N. 2. Suknia z garnirunkiem z pukielków. Patrz r. 13 w N. 21 i r. 29. N. 3. Ubranie dla chłopczyka lat 5—8.

pelerynki luźne pentelki obrabia się ząbkami szydełkowemi, łącząc jednem oczkiem ścisłem 4 pentelki, a dalej robiąc 9 o: pow.; w takie ząbki nawłóczy się sznur włoczkowy 110 cent. długi, zakończony kwastami i pomponami, pelerynkę przyciąga się podług objętości szyi, a końcowe ząbki są przymocowane do sznura. Nakoniec wykrój szyi garniruje się sutą torsadką robioną na widełkach, ozdobioną paciorkami.



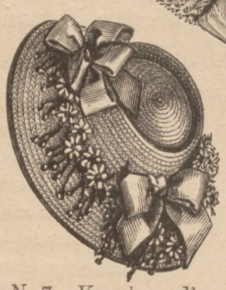
N. 4. Kołnierz z żabotem.



N. 6. Kapelusz z wklęsłą główką. Patrz r. 31 w N. 21.



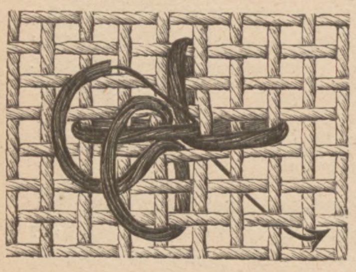
N. 10. Suknia z draperyą. Patrz r. 18 i 19.



N. 7. Kapelusz dla dziewczynki. Patrz ryc. 34.



N. 5. Kołnierz chusteczkowy.



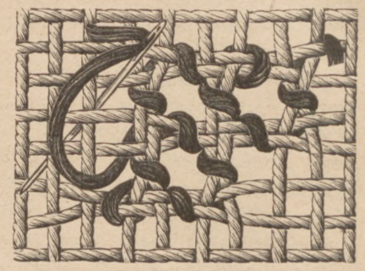
N. 11. Wyszycie ściegu do ryc. 30 w N. 21. Patrz ryc. 12.



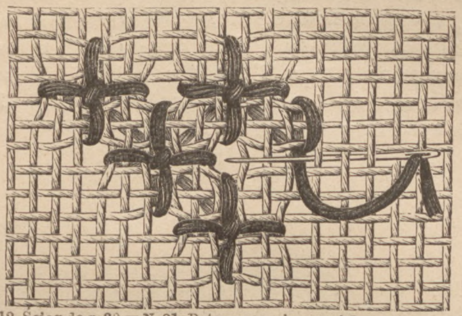
N. 8. Rączka do parasolika.



N. 9. Rączka do parasolika.



N. 13. Ścieg do ryc. 30 w N. 21.

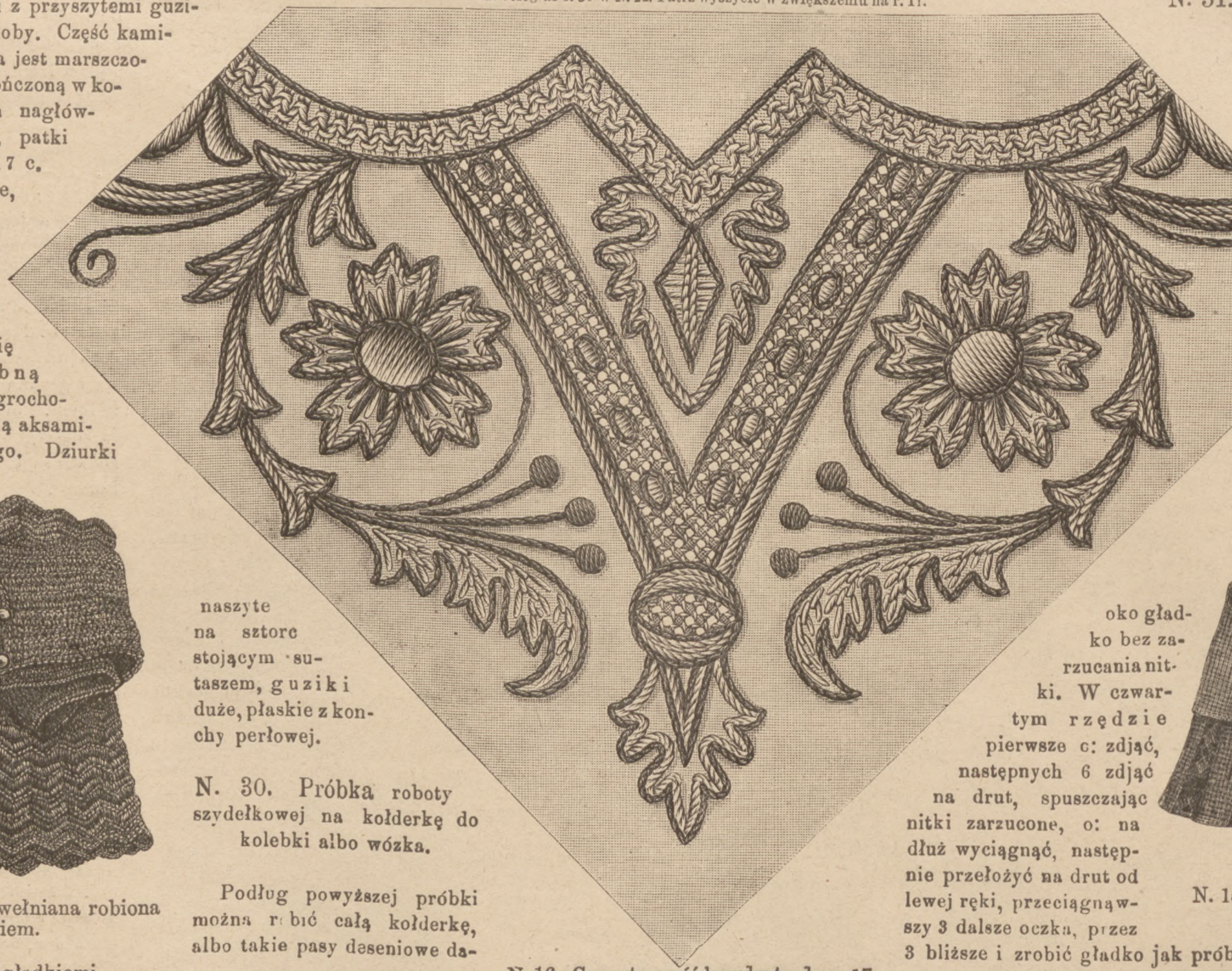


N. 12. Ścieg do r. 30 w N. 21. Patrz wyszycie w zwiększeniu na r. 11.

N. 24—25. Stanik z kamizelką.

Krój podług formy do ryc. 10 i 11 w N-rze 18.

Na tylną baskinę, mającą w każdej połowie 40 cent. szerokości, dodaje się przy krajaniu plecków i boczków, 12 cent. poniżej wcięcia w pasie, potrzebną ilość materyału. Krótsze, szeroko nie dochodzące się przody stanika, dopełnione częścią kamizelkową, zapinają się na kryte haftki, a odznaczone dziurki z przyszytemi guzikami, służą do ozdoby. Część kamizelkowa dopełniona jest marszczoną szmizetką, zakończoną w koło szyi podwójnym nagłówkiem. Kamizelka, patki przy kieszeniach 17 c. długie a 9 wysokie, 8 cent. szerokie mankiety i 4 c. szeroki kołnierzyk, są aksamitne. Rycina 25 przedstawia suknię wełnianą w drobną kratkę niebieską i grochowego koloru, ubraną aksamitem koloru pawiego. Dziurki naszyte na sztorc stojącym sutaszem, guziki duże, płaskie z konchy perłowej.



N. 16. Czwarta część kwadratu do r. 17.



N. 14. Spódniczka wełniana robiona szydełkiem.

N. 30. Próbka roboty szydełkowej na kołderkę do kolebki albo wózka.

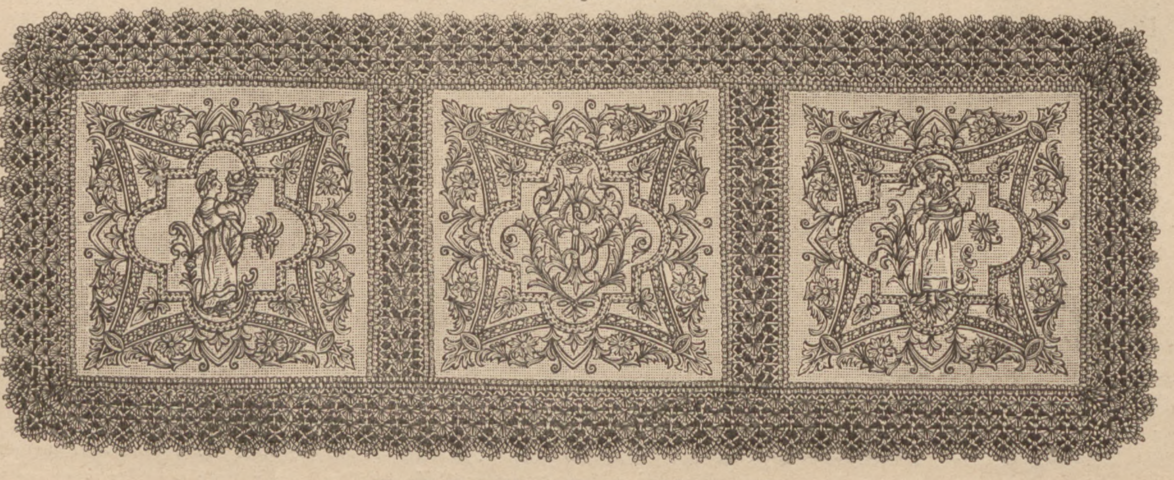
Podług powyższej próbki można robić całą kołderkę, albo takie pasy deseniowe dawać naprzemian z gładkiemi szydełkowemi, lub z pasami z kanwy jawa, ozdobionemi wyszyciem krzyżowem. Próbka przedstawia robotę w naturalnej wielkości i wskazuje grubość włóczki; kołderka będzie o wiele piękniejsza gdy dobierzemy włóczkę w dwóch cieniach albo w dwóch kolorach, które zmieniałyby się naprzemian w muszkach, jak na próbce. Kołderkę zaczyna się łańcuszkiem odpowiedniej długości; w pierwszym rzędzie przewlec pierwsze o: gładko, w następne o: łań. przewlec pentelkę i zrobić w nią 2 o: powietrzne, zarzucić nitkę na szydełko, przewlec przez to samo oczko co poprzednie 1 pen. i zrobić 1 o: pow., i przerobić trzy pentelki stanowiące muszkę 1 o:, które zatrzymuje się na szydełku, puścić z lewej strony luźno włóczkę, a następną muszkę robić drugim kolorem, do trzeciej muszki przeprowadzić z lewej strony nitkę poprzednią. Rzędy idące od lewej ręki do prawej robi się zwykłym sposobem, tylko zmienia się nitki odpowiednio do koloru zatrzymanych na szydełku pentelek. Następne rzędy muszek robi się w pentelki podłużne poprzedzających jak to widać na próbce; przy zaczęciu każdego nowego rzędu, robi się najpierw 2 o: powietrzne.

N. 31. Próbka roboty na drutach, na chustki, szaliki i t. p.

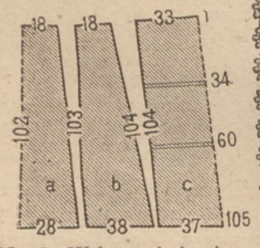
Robotę zacząć jak zwykle na potrzebną do zamierzonej szerokości ilość oczek, których liczba musi dać się dzielić przez 6, a prócz tego dodaje się po jednem oku na początek i koniec rzędów. Obrobić tam i napowrót gładko, w trzeciem obrobieniu pierwsze oko zdjąć, przed dalszemi zawsze zarzucać nitkę 3 razy na drut i oczy robić gładko, ostatnie oko gładko bez zarzucania nitki. W czwartym rzędzie pierwsze o: zdjąć, następnych 6 zdjąć na drut, spuszczając nitki zarzucone, o: na dłuż wyciągnąć, następnie przełożyć na drut od lewej ręki, przeciągnąwszy 3 dalsze oczka, przez 3 bliższe i zrobić gładko jak próbka wskazuje. Skończywszy rząd, obrobić dwa razy gładko; przy przewłóczeniu o: w następnych rzędach deseniowych trzeba żeby tak jak próbka wskazuje raz dalsze 3 oczka przeciągać przez środek bliższych a w następnym rzędzie 3 pierwsze przez środek następnych.



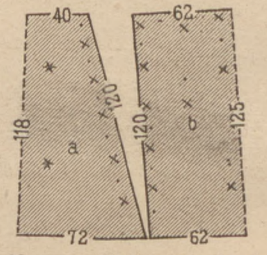
N. 15. Spódniczka przybrana wstążką.



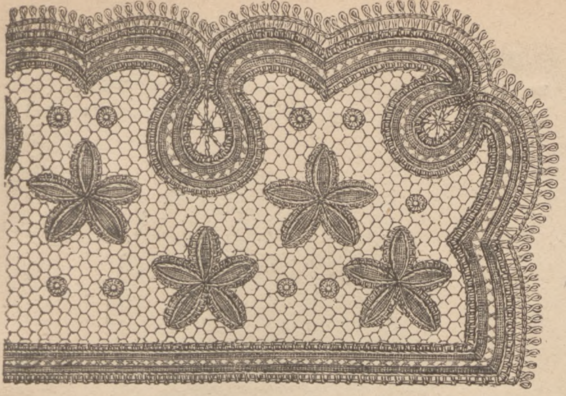
N. 17. Serwetka podłużna. Patrz ryc. 16.



N. 18. Wskazanie kroju spódnicy do ryc. 10.



N. 19. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 10.



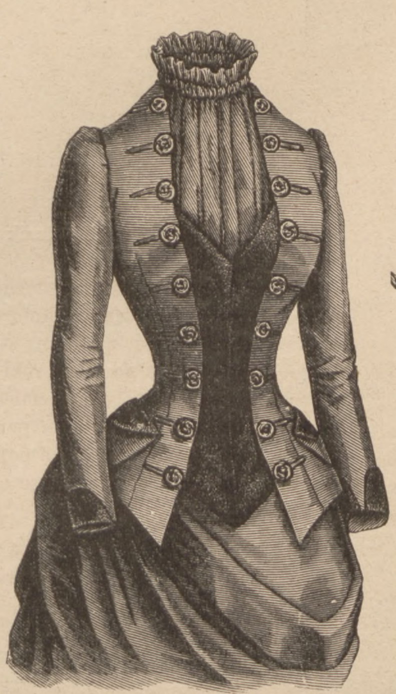
N. 20. Koronka odpowiednia na kołnierzyk stojący.

N. 38—41. Płaszczyk upięty z dużego szala.

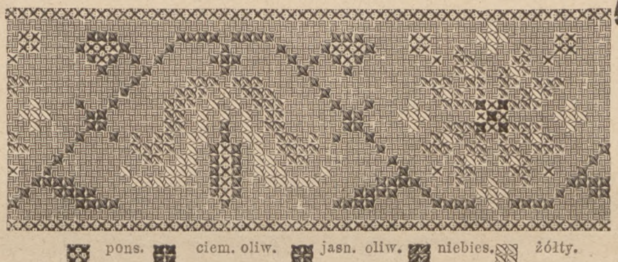
Na wiosenne okrycia i płaszczyki modne są materyały w guście tureckim, a najmodniejsze są okrycia upięte z nieprzecinanych prawdziwych tureckich lub indyjskich szali które ręka wprawnej modniarki przy pomocy r. 38 i małego modelu r. 39, z łatwością wykonać może. Na ryc. 39 podajemy rozmiary fałd i założeń, jednakże długość i szerokość pleców jak i długość ramion musi być dopasowana podług figury. Model upięty był z szala mającego 324 cent. długości, a 154 szerokości, ktoren najpierw składa się we dwoje, jednak nie zupełnie przez środek, lecz tak ażeby środkowe gładkie tło o ile można poszło pod spód, a wierzch był w deseń turecki. Podwójna linijka na r. 39 wskazuje w którem miejscu wypaść powinno zeszycie z wierzchu brzegów poprzecznych; następnie w górze składa się szal 39 cent. szeroko poczwórnie do spodu, a w środku zaszywa się na podkrój szyi 44 c. długi, literami a—b oznaczony, do którego dochodzą 14 c. długie zaszewki na ramionach, a nakoniec daje się zaszewki w plecach. Krzyżyki i kropki oznaczają miejsce zaszycia fałd peprzecznych u dołu. Na wcięciu w pasie trzeba przyszyć od spodu wstążkę do wiązania, ażeby okrycie wpadało do figury; przody zapinają się na ozdnbną metalową agrafę, z tureckiemi sznurami i kwastami.



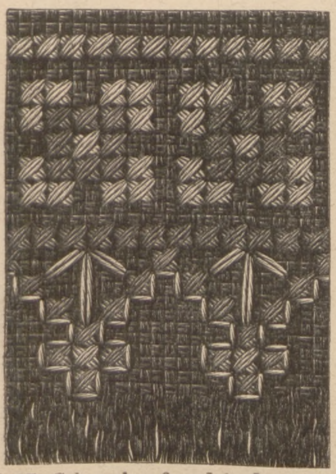
N. 22. Pelerynka z torsadki robionej na widełkach. Patrz ryc. 23.



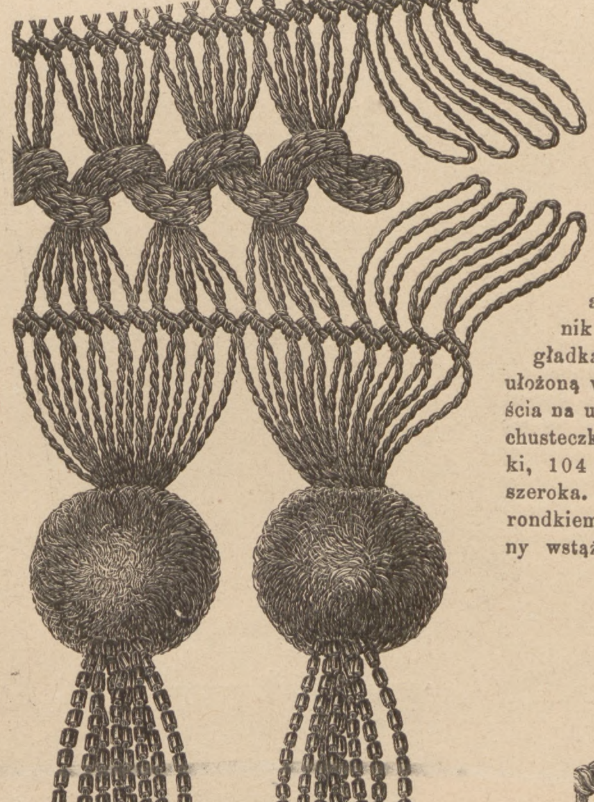
N. 24. Stanik z kamizelką. Patrz ryc. 25.



N. 26. Szlaczek do ryc. 16 w N-rze 21.



N. 27. Szlaczek z frendzlą do ryc. 17 w N. 20.

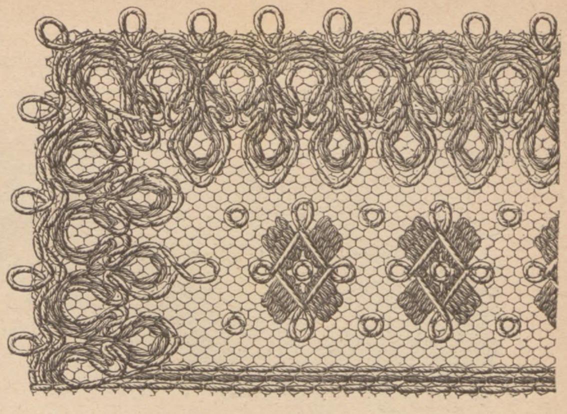


N. 23. Zakończenie pelerynki robotą na widełkach, ryc. 22.

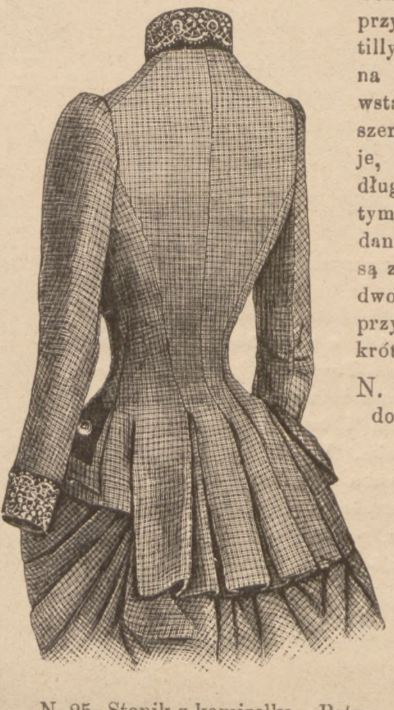
Opis do N. 21.

N. 1—2. Kapelusz okrągły tiulowy.

Fasonik ze sztywnego tiulu ma rondko z przodu 9 z tyłu 6 cent. szerokie i prostą główkę 10 cent. wysoką a 15 średnicy liczącą i pokryty jest gładko gęstym podwójnie wziętym tiulem. Wierzch główki pokrywa denko wyszyte szmelcowanemi perełkami, boki główki i rondko przysłania koronka chantilly, naszyta perełkami; na przyszyciu opasana wstążka repsowa 10 c. szeroka złożona we dwoje, z tyłu spuszczona w długie końce, spięte sutym bukietem. Kokardy dane z boku, związane są z wstążki złożonej we dwoje. Z prawej strony przypięta nitka z pięciu krótkich strusich piórek.



N. 21. Koronka wywodzona na tiulu, na kołnierzyk stojący.



N. 25. Stanik z kamizelką. Patrz ryc. 24.

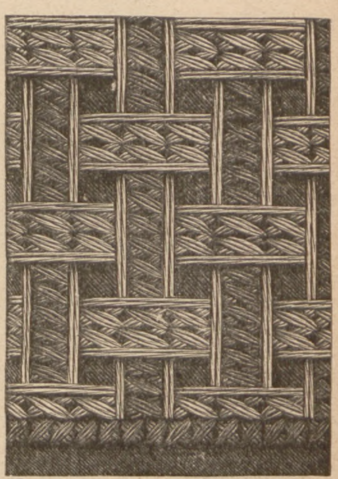
N. 3—4. Ubranie dla dorastającej panienki.

Ryc. 3 i 4 przedstawia przód i plecy sukienki wykończonej, z małemi odmianami lecz z zupenie odmiennych materyałów; na r. 3 widzimy spódniczkę z dwoma marszczonemi falbankami, uszytą z gładkiego zefiru, vêtement zaś z materyału w duże ciemniejsze grochy. Druga sukienka odrobiona z beżu w drobną krateczkę; kokardy z wstążki lub aksamitki 5 cent. szerokiej.

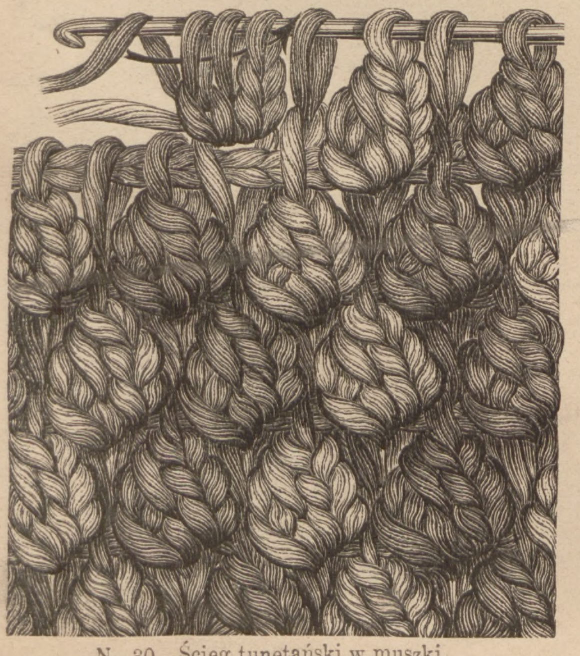
N. 5—7. Ubrania spacerowe.

N. 5. Suknia z gładkim stanikiem.

Do spódnicy jedwabnej przybranej aksamitem, włożony stanik aksamitny z baskiną gładką z przodu, z tyłu zaś ułożoną w kontrafałdy. Do wyjścia na ulicę zarzucona na szyję chusteczka z hiszpańskiej koronki, 104 c. długa, 63 w środku szeroka. Kapelusz słomkowy z rondkiem dyademowem, przybrany wstążką ottoman i kwiatami.



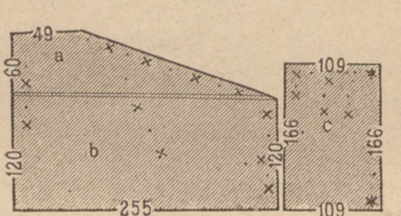
N. 28. Tło na przykrycie do koszyczka ryc. 17 w N-rze 20.



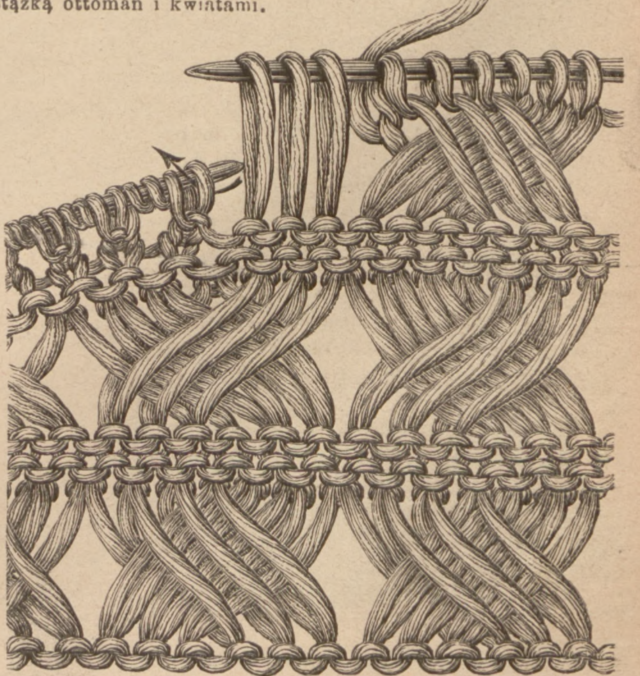
N. 30. Ścieg tunetański w muszki.

N. 6—7. Ubranie z długą pelerynką.

Modne i ulubione dopełnienie tegorocznych wiosennych ubrań, stanowią pelerynki z wysoko odstającym



N. 29. Krój draperyi do ryc. 2.



N. 31. Tło robione na drutach; na szaliki, chusteczki i t. p.

szwem ramienia lub z gładkiem odrobione z tego samego materyału co suknia, lub też z pluszu, materyi adamaszkowej ottomane, lub z modnej materyi w wielkie grochy. Model pelerynki dopełnio-



N. 34. Kapelusz dla dziewczynki. Patrz r. 7.

nej z tyłu szeroką szarfą, jaki przedstawiają ryc. 6—7, liczył z przodu 44, z tyłu 55 c. długości a 153 dolnego obwodu. Przybranie pelerynki z adamaszkowej grubej materyi stanowi plisa aksamitna 13 i 6 cent. szeroka i bardzo gęsta sznelowa frendzla 18 cent. szeroka. Wykrój szyi otacza riusza koronkowa. Pelerynka z gładkiej materyi przybrana jest 12 cent. szeroką koronką, przyszytą do paska gładkiego tiulu, przykrytego garnirunkiem z końców aksamitnych 5 i 10 cent. długich, 3 c. szerokich, podłożonych u dołu w ząb i zakończonych grelotką.



N. 32. Kapotka dla dziewczynki. N. 33. Kapelusz okrągły dla dziewczynki.



N. 36—37. Kołnierz fałdowany stojący i uczesanie z karbowanemi włosami.

N. 12. Suknia z vêtement.

Odrobiona z alpagi srebrno popielatej, przybrana jest naszyciem z aksamitki różnej szerokości (od 1 do 5 c.); w kontrafałdy ułożona falbana przy spódnicy liczy 40 cent. szerokości ma nagłówek 7 cent. szeroki; falbanka bez nagłówka przy vêtement jest 8 cent. szeroka. Przody i boki vêtement krają się w całkowitej długości, plecy zaś krajane na długość zwykłej baskiny, dopełnione są wielką szarfą dodaną z podwójnie wziętego bryta materyału 56 cent. szerokiego (pukle liczą po 25 cent., końce po 70 cent. długości). Zamiast węzła w środku szarfy dana agrafka stalowa; przody stanika zapięte są także na stalowe klamerki.

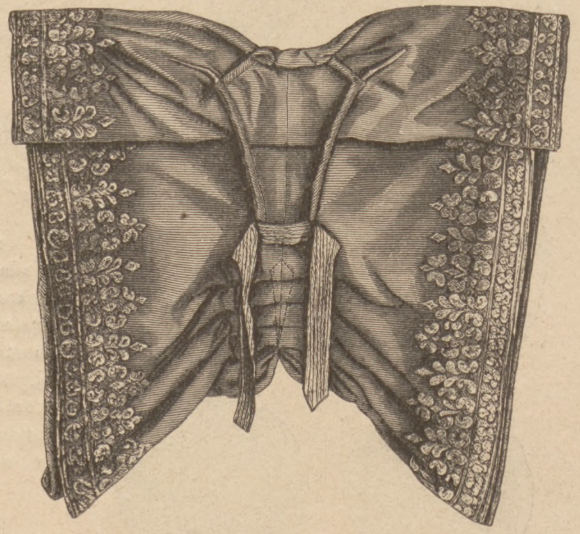
(D. n).



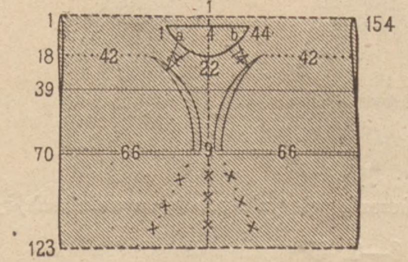
N. 35. Kapelusik na czoło.



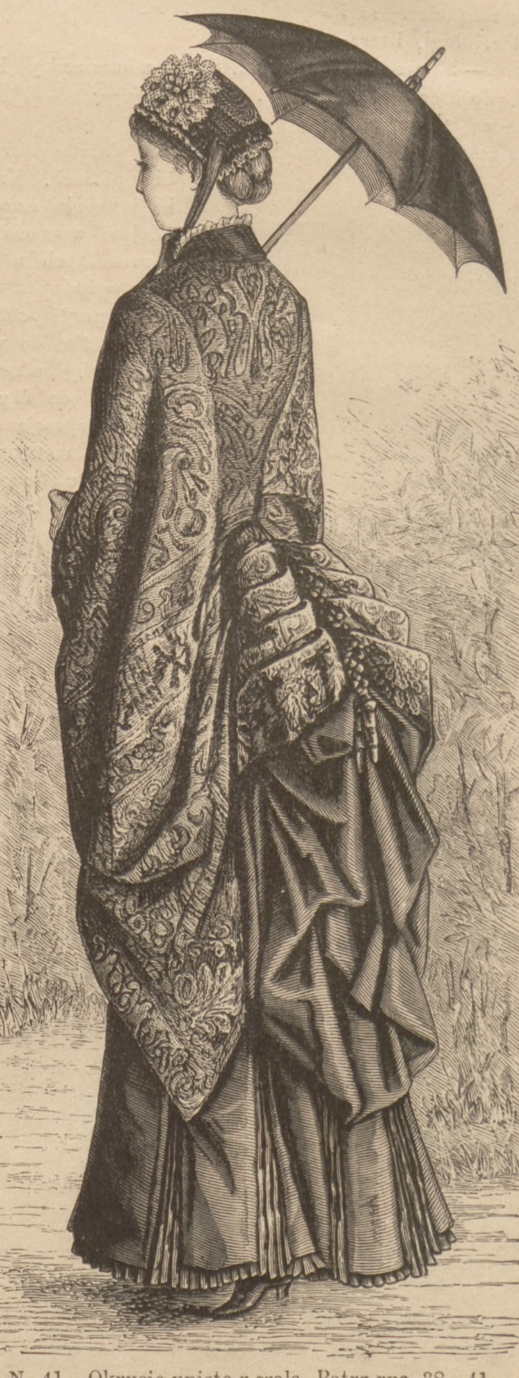
N. 40. Okrycie upięte z szala. Patrz ryc. 38—41.



N. 38. Lewa strona okrycia upiętego z szala. Patrz ryc. 39.—41.



N. 39 Model do upięcia okrycia z szala. Ryc. 40—41.



N. 41. Okrycie upięte z szala. Patrz ryc. 38—41.



Pl. 538.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.

N. 42—45. [illegible]